BIBLIOTEKA
Państwowej Wyższej Szkoły Pedagogicznej
w GDAŃSKU
K. Lit. Pol.

Stron 8

Opłata uiszczona ryczałtem.

Cena 1.20 zł

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

W NUMERZE:

MIECZYSŁAW CZAJA — Dobrze spełniony obowiązek. ANTONINA HANDEL — Naprawiony błąd. KRYSTYNA NADROWSKA — Los gromady w naszych rękach. TEOFIL KOWALCZYK — Klęska młynarza. JÓZEF TOKARCZYK — Dlaczego „Zielone gałęzie". MONIKA WARNEŃSKA — „Mazowsze" na codzień. FRANCISZEK ŚNIEG — Dlaczego jest źle z czytelnictwem w naszych PGR-ach? JÓZEF PODGÓRECZNY—Biblioteka miejska a wieś. PRZEMYSŁAW BYSTRZYCKI—W powiecie końskim

Rok XI

Warszawa, dnia 28 lutego 1954 r.

Nr 9 (447)

Mal. M. Naubandian

W pierwszą rocznicę zgonu JÓZEFA STALINA

LESZEK MECH

KOMUNIKATY

Opaleni pyłem węglowym
Przed zjazdem słuchali komunikatu.
Niejeden schylił niżej głowę
I łzy pięścią rozgniatał.

Innym ból usta zakneblował,
Serca jak kroplę wrzącej stali.
A wszyscy na te dwa słowa
— Żył będzie,— jak na uśmiech czekali.

Nie czuli wiatru. Nie czuli mrozu.
Oddech parował z ust.
A komunikat mówił — gorzej —
I ból jak pożar rósł.

Stygła w manierkach ciepła kawa,
Górnik zapomniał o niej.
W domu po pracy radio nastawiał,
Na gałce drżały mu dłonie.

Matka w ten wieczór dzieci przed snem
Całowała dłużej i mocniej.
I pomarszczoną twarz boleśnie
Miał siwiejący przy głośniku ojciec.
W chodniku nocna zmiana przy świdrach.
Szóstego marca o świcie
Przyniósł ostatni komunikat sztygar:
— Józef Stalin zakończył życie. —

Przygasły lampy. Milczał korytarz,
Czasem węgiel zasyczał i zgasł.
Tylko usta powtarzały komunikat,
Tylko piersi rozrywał płacz.

Pod powieką łez nie ukrywał
Z pionierskiego zaciągu rębacz,
Z bólu skronią do kolby przywarł,
Dłonie kruszą odłamki węgla.

I tak trwali niemi, milczący,
I powoli prostowali plecy —
Usłyszeli jak bije gorące
Jego serce w sprawach człowieczych.

ERNEST BRYLL

DO SPEAKERA MOSKIEWSKIEJ RADIOSTACJI

Usta były spięte uwagą
Ktoś po cichu od stołu powstał,
Po antenach biegły sygnały
— Wnimanie zdies' gawarit Maskwa ...

Głos przeleciał wichrem po myślach
W pustce oczu jak werbel walił
— Towarzysze!
— Dziś
— O dziewiątej...
— Zmarł na Kremlu towarzysz Stalin!

Głos speakera łamał się łzami,
Łkaniem trząsł się na ścianie głośnik,
Owinęły żałobne słowa
Smukłe maszty moskiewskich rozgłośni...

Towarzyszu speakerze!
Tyś mówił
Kiedy Moskwę szturmował faszyzm
Towarzyszu!
Tyś mówił a słowa
Były dźwięczne jak strzały katiusz.
Towarzyszu!
W brzmienie twego głosu
Gdzieś na tyłach wroga zasłuchani
Przy polowym radiu partyzanci
Nie słyszeli byś dławił się łkaniem.

Czemu każde słowo dudni głucho
I lawiną w serce się stacza?
Jak ulica
Sciska
Pięści bruku
Zwieram dłonie, towarzyszu,
I płaczę.

Twoje gardło grudą nabrzmiało
Głos twój z skurczem się zwarł. Uparty.
Towarzyszu!
W rytmie słów twoich
Pójdzie nowy zaciąg do Partii.

O KONFERENCJI BERLIŃSKIEJ

* * *

Z radości mocniej zabiły nasze serca, gdy dowiedzieliśmy się w Łabędziowie, że nareszcie państwa zachodnie pod naciskiem opinii publicznej musiały się zgodzić na odbycie konferencji czterech wielkich mocarstw. Dwa punkty konferencji szczególnie interesowały nas, chłopów pracujących Ziemi Mazursko-Warmińskiej: sprawa pokoju i redukcji zbrojeń oraz sprawa zjednoczenia pokojowych, demokratycznych Niemiec.

Dla nas chłopów wydawało się z początku, że to sprawa prosta. Bo jeśli weźmiemy pod uwagę co Niemcy hitlerowskie zostawiły po II wojnie światowej w każdym kraju, gdzie wdarli się ze swą armią „gestapo" i obozami śmierci — to koniecznie musimy dążyć do stworzenia Niemiec nowych, demokratycznych, miłujących pokój.

Szczególnie nas, chłopów z ziem odzyskanych, ta sprawa interesuje, bo wiemy o dążeniach niektórych neohitlerowskich kacyków z rządu bońskiego do odebrania nam prastarych ziem piastowskich, a więc pozbawienia nas osobiście ziemi, którą uprawiamy i kochamy. Gdy tylko Armia Czerwona i Odrodzone Wojsko Polskie wyzwoliły te tereny przyszliśmy tutaj z różnych stron Polski, biedniacy, fornale — na zniszczone gospodarki, na zachwaszczone pola. A teraz osiągamy coraz to lepsze plony. Już 10 lat gospodarzymy — z każdym rokiem lepiej i wydajniej.

Z tych to powodów chłopi w Łabędziowie, jak też w całej gminie, pilnie czytali prasę i z uwagą słuchali komentarzy radiowych Edmunda Osmańczyka, który wszechstronnie omawiał każde posiedzenie berlińskie.

Po wysłuchaniu komentarza wywiązywała się żywa, sąsiedzka dyskusja. Wszyscy pamiętamy dobrze, co się u nas działo podczas wojny światowej. Niektórzy potracili swe rodziny, ojców, dzieci, bliskich, znajomych. Widzieli kraj zniszczony ogniem i żelazem. Dlatego ludzie żywią do hitlerowskich Niemiec wielką nienawiść. Toteż kiedy dochodziliśmy wspólnie do wniosku, że ministrowie zachodni, a szczególnie Dulles, chcą z Niemcami, na ich modłę zjednoczonymi, podpisać układ wojskowy właśnie przeciw nam i Związkowi Radzieckiemu, wszystkich nas ogarnęła „szewska pasja". Jeśli ktokolwiek wątpił w agresywne zamiary rządów państw imperialistycznych, to teraz widział jasno, że się grubo omylił.

Mój sąsiad Złotucha powiada:
— Wiesz Kosobucki, dotychczas człowiek różnie myślał, bo się powoli zapomina krzywd wyrządzonych nam przez faszystów i ich wspólników. Myślało się nieraz, że ci z Zachodu też chcą pokoju. Przekalkulowawszy jednak w swej starej głowie, doszedłem do wniosku, że zachodni dygnitarze chcą mieć Niemcy uzbrojone do wojny, aby znowu „poszczuć" je na nas. Ale w Berlinie to się im noga powinęła. Jestem, chociaż to może mało znaczy, za propozycjami Mołotowa.

— Kochany Złotucha — mówię mu — to dużo znaczy! Bardzo dużo! Taki jest głos całego narodu polskiego, narodu radzieckiego, narodów wszystkich krajów. A co najważniejsze — taki jest głos narodu niemieckiego. Słyszeliście głosy z manifestacji wszystkich berlińczyków w dn. 18 lutego. Żądają oni demokratycznych i pokojowych Niemiec bez Wehrmachtu i imperialistycznej polityki „Drang nach Osten!"

Posypały się wspomnienia z lat okupacji, ciężkie i żałosne, ale mobilizujące do walki o pokój.

Wspominamo, jak to brutalni młokosi z Hitlerjugend poniewierali siwiuteńkiego profesora J..., nazywając go ordynarnie i bijąc go tylko za to, że był Polakiem.

Ktoś opowiedział, jak to 300 ludzi spędzono do kościoła, oblano naftą i podpalono. Tak likwidowali hitlerowcy chłopów.

Złotucha pamięta dobrze, jak hitlerowcy zabrali mu ostatnią krowę, a kiedy błagał z rodziną o litość lejtnant zdzielił go kilka razy grubym nahajem po starych plecach i kopnął iście po amerykańsku, aż chłop się wywrócił.

Inny sąsiad, Świątek, był w obozie, widział coś straszniejszego od biblijnego piekła. Smoły i diabłów nie było, ale były piece, cyklon, zastrzyki, wszy, — i straszne, nieludzkie postacie „kapo".

— A Amerykanów i Anglików w obozie nie było — dodaje Świątek. — Może dlatego nie mieli okazji przekonać się, czym to grozi...

Z wielkim uznaniem wszyscy słuchali głosu ministra Mołotowa. To był też nasz głos — głos chłopów polskich, wsi polskiej, całego naszego narodu. Pracując coraz lepiej i wydajniej, budując ojczyznę wolną, związaną sojuszem z bratnią Niemiecką Republiką Demokratyczną, walczącą o te same cele — nie pozwolimy na odbudowanie Niemiec we dług planów Edena, dyktowanych przez mocodawców z Wall Street. Niedoczekanie wasze, panowie imperialiści!

WACŁAW KOSOBUCKI
Łabędziowo, pow. Bartoszyce

* * *

WIEŚ nasza należy do przodujących. Chłopi gospodarują coraz lepiej, chciwi są na wszystkie nowe sposoby, rozumieją, że nie tylko żyto i ziemniaki trzeba uprawiać. Są u nas więc plantacje tytoniu (plan wykonaliśmy już w 200 proc.), dużo sadzi się buraków cukrowych, oleistych, a także i konopi. Ludzie czytają książki, gazety — listonosz zawsze przywozi ich sporą naręcz. Robimy tu różne krzyżówki miczurinowskie, a ja już najwięcej. Przychodzą listy z innych gromad z prośbą, aby opisać nasze doświadczenia. Ot, teraz mam odpowiedzieć na 50 listów!

Spokój u nas, dostatek coraz większy. Nowe metody gospodarowania przynoszą niemały pożytek samym rolnikom i państwu.

Ale właśnie dlatego, że jesteśmy zadowoleni, że każdy widzi o ile jest obecnie lepiej niż za sanacji, śledzimy uważnie co się dzieje w polityce. Każdemu chłopu zależy na zachowaniu pokoju. Pamiętamy ostatnią wojnę. U nas co prawda faszyści spalili tylko trzy chałupy, ale gdzie indziej było gorzej. Chociażby w takim Ksawerowie, który SS-mani doszczętnie „spacyfikowali".

Nie chcemy nowej wojny, ruin i zgliszcz. Chcemy przyjaźni ze wszystkimi narodami. Cieszy nas to, co dzieje się w Niemieckiej Republice Demokratycznej, gdzie władzę w swoje ręce wziął lud.

Ostatnie przemówienia ministra Mołotowa na konferencji berlińskiej czytała chyba cała wieś. Rozmawialiśmy później na ten temat: ja, Wacław Kazanowski, Józef Grabowski (sołtys), Jan Kołtun (przewodniczący ZSCh), Helena Wojtaszkowa (nauczycielka) i wielu jeszcze sąsiadów.

Godziliśmy się wszyscy: Niemcy muszą być zjednoczone. Ale nie tak, jak chcą zachodni ministrowie. Bez żadnej komedii wyborczej, podczas której wolność wyboru będą mieli tylko odwetowcy i podżegacze wojenni.

Niemcy muszą być zjednoczone, tak, aby już nie zagrażały pokojowi, a przyczyniały się do jego umocnienia.

Chłopi rozumieją to dobrze. Wiemy, że demokratyczne Niemcy przyczynią się do utrwalenia pokoju.

PAWEŁ KOŁTUN
Wolawce, pow. Chełm Lubelski

JAN DĄB-KOCIOŁ

Przebyta droga...

CZĘSTO przychodzą mi na myśl młode lata spędzone na wsi... Pamiętam, jak to urodzaje na polach uzależniało się od tego, czy pole zostało poświęcone kroplami wody, czy też nie. Również bydło, wypędzane na wiosenną paszę, musiało przejść pod rzęsistymi kroplami wody...

Pamiętam, jak szliśmy raz z ojcem w wigilię do sadu i tam — ponieważ chcieliśmy mieć urodzaj owoców z jabłoni — przewiązywaliśmy drzewo powrósłem. Dzieciarnia obijała je kijami, krzycząc: „Będziesz rodziła, będziesz jabłka miała!".

Tak postępował nie tylko mój ojciec; był to zwyczaj panujący w całej wsi i całej okolicy.

Rzeczy, o których wspominam, chociaż tak niedalekie, jakże wydają się nam śmieszne! Widać na ich przykładzie, jak bardzo od tego czasu wzrosło uświadomienie naszej wsi. Dziś nie znajdziemy już chłopów stosujących podobne praktyki.

W jednej z przedwojennych gazet z 1935 roku znalazłem krótką, lecz jakże wymowną wzmiankę: wiejski nauczyciel z zaoszczędzonych groszy kupił sobie radio. Oburzeni tym chłopi potrzaskali mu je całkowicie, bo radio miało rzekomo sprowadzać burzę, grad i wszelkie inne nieszczęścia.

Tak było w r. 1935. Dziś rozmawiam codziennie z kilkoma delegacjami wiejskimi, kategorycznie domagającymi się zelektryfikowania i zradiofonizowania ich gospodarstw. Nie ma już chyba w Polsce takich chłopów, którzy niszczyliby radia, palili książki i bali się aparatu filmowego.

Lecz spójrzmy na nasz obecny system gospodarki, przeważający jeszcze dziś na wsi. Wąsko przegrodzone chlewki... Sierp, kosa i motyka w ręku wielu gospodarzy... A iluż to zdrowych chłopów w rowie lub na wąskiej miedzy przez cały dzień pasie na powrózku jedyną krowinę!...

Ten system gospodarki dziś jeszcze wydaje nam się konieczny, ale mam nadzieję, że w kilku najbliższych latach będziemy już o tym myśleć i mówić, jako o czymś obcym i śmiesznym.

Myślmy teraz o tym, jak zwiększyć i uruchomić rezerwy, które tkwią na wsi, jak pomóc w przebudowie naszego życia. Trudno jest podać na to generalną receptę, bo takiej nie ma, ale wskazać można na dwa zakresy, w których musimy ustokrotnić nasze wysiłki: uprawę zbóż i hodowlę.

Trwają jeszcze co prawda silne mrozy, lecz wiosna zbliża się szybkimi krokami. A tegoroczna wiosna musi być inna niż poprzednie. Trzeba przed wiosenną akcją siewną przedyskutować w gromadzie sposoby zagospodarowania najmniejszego nawet kawałeczka ziemi — co pozwoli na powiększenie plonów i zwiększenie hodowli. Trzeba, aby pracami gromad kierowały komisje gromadzkie składające się z przodujących chłopów i chłopek, mistrzów wysokich urodzajów i przodowników hodowli. Przodujący chłopi powinni ogarnąć wokół siebie wszystkich nieświadomych, opóźniających się — i pociągnąć ich za sobą. Chłop polski jest ambitny, chciałby zdobyć jak najwyższe plony, ale nie zawsze wie, jakimi metodami pracować.

Mistrzowie urodzajów i hodowli uzyskali już poważny zasób doświadczeń; niechże wiec pociągną za sobą wszystkich, którzy jeszcze pozostają w tyle. Uświadomienie naszej wsi sięga już bardzo głęboko.

Nie ma gromady czy gminy, żeby nie było przodowników rolnictwa i hodowli. Pragniemy, aby w szeregach aktywistów wiejskich nie zabrakło kobiet, aby pomagały one swoim przykładem wątpiącym niejednokrotnie sąsiadom, aby kierowały szczęśliwym życiem swojej wsi.

Minister Rolnictwa **Jan Dąb-Kocioł**

(Fragmenty z przemówienia Ministra Rolnictwa na Krajowym Zjeździe Przodujących Hodowczyń).

NOWE KADRY IDĄ NA RADZIECKĄ WIEŚ

* * *

POWRÓT

W ZWIĄZKU Radzieckim trwa dziś olbrzymi, masowy ruch przechodzenia kadr inteligencji na wieś. Wywołała go uchwała wrześniowego Plenum Komitetu Centralnego KPZR, zalecająca skierowanie na wieś do końca 1953 roku fachowców z przygotowaniem technicznym i rolniczym, pracujących dotychczas w przedsiębiorstwach przemysłowych i innych gałęziach gospodarki.

W kilka dni po ogłoszeniu tej uchwały do komitetów partyjnych wszystkich instancji zaczęły napływać setki zgłoszeń i listów od ludzi pragnących pracować na wsi. Sprawa kadr dla wsi objęła wszystkie instytucje aparatu państwowego, wszystkie instancje partyjne, wszystkie organizacje społeczne, dotarła do każdego człowieka, stała się sprawą ogólnonarodową.

W ciągu 36 lat istnienia socjalistycznego państwa z każdym rokiem maleje granica między miastem a wsią, między gospodarką rolną a przemysłem. W ciągu 36 lat wieś wrosła w gospodarczy i społeczny organizm państwa socjalistycznego i ściśle się z nim zespoliła.

Dziś przed wsią radziecką postawiono nowe zadania: walkę o jeszcze wyższy poziom gospodarki rolnej. Walka ta — w sytuacji, gdy wieś posiada tę samą bazę społeczno - gospodarczą co miasto: bazę socjalizmu — stała się ostatnim etapem innego zadania ogólno-społecznego, mianowicie walki o likwidację różnic między miastem a wsią. W walce tej wieś nie jest pozostawiona sama sobie. Staje wraz z nią cały naród.

Warto przejrzeć w prasie radzieckiej notatki, informacje i listy czytelników, mówiące o sprawie nowych kadr dla wsi. Dowiemy się z nich o rzeczach, które z punktu widzenia osobistych interesów jednostki wydawać się kiedyś mogły — po prostu niezwykłe. Oto pracownicy ministerstw, ludzie z wysokimi kwalifikacjami, zadomowieni w dużych ośrodkach miejskich porzucają wszystko i wyjeżdżają do pracy na wieś. Oto młodzież uniwersytecka Moskwy po ukończeniu studiów jedzie do wsi na Dalekim Wschodzie. Wyjeżdżają na wieś inżynierowie, lekarze, ekonomiści — ludzie, którzy często niewiele mieli ze wsią wspólnego. Z czego to wypływa? Przecież sprawa przeniesienia się kilkuset tysięcy ludzi z miasta na wieś — to już cały ruch społeczny.

Sprawa ma oczywiście dwie strony: stroną obiektywną i subiektywną. Strona obiektywna — to konkretnie istniejące warunki, które spowodowały, że partia — mózg socjalistycznego społeczeństwa — powzięła w interesie tego społeczeństwa zgodną z istniejącymi warunkami decyzję. Strona subiektywna — to po prostu to, jak poszczególni ludzie radzieccy przyjmierzyli apel i wskazania partii do swego osobistego życia i jakie wyciągnęli stąd wnioski. Oczywiście, że dla niejednego decyzja nie była lekka — człowiek na ogół nie lubi nagłej zmiany warunków — ale przecież setki tysiące ludzi decyzję tę podjęły!

Oczywiście dzisiejsza wieś radziecka potrafi zapewnić człowiekowi najdogodniejsze warunki życia i pracy. Fachowcy przyjeżdżający na wieś radziecką otrzymują na ogół mieszkanie wyposażone w elektryczność, a nierzadko w wodę bieżącą i działki przyzagrodowe do własnej dyspozycji. Nie czują się też bynajmniej oderwani od życia kulturalnego kraju. Biblioteki, kluby, kina stałe, lub objazdowe, zespoły artystyczne — wszystko to sprawia, że życie kulturalne wsi radzieckiej nie różni się zbytnio od życia miast.

Fachowcy przyjeżdżający do pracy na wsi wiedzą, że tu właśnie bardziej niż gdzie indziej dotąd, mogą wykazać swą wiedzę i umiejętności. Krótko mówiąc: mają pole do popisu. Wieś przedstawia dziś dla nich specjalną atrakcyjność, atrakcyjność trudu.

Wysłańcy miast przywożą wsi rzetelną wiedzę rolniczą i techniczną, nawyk systematycznej i planowej pracy, wysoki stopień świadomości politycznej, umiejętność organizowania pracy tak by dawała ona jak najlepsze wyniki przy równoczesnym oszczędzaniu sił ludzkich, krótko mówiąc to, co określa się terminem: przemysłowa kultura produkcji. A to właśnie jest czynnikiem niezbędnym dla wykonania wysokich zadań postawionych przed wsią radziecką przez rząd i partię — i to właśnie w niezbyt dalekiej przyszłości zadecyduje o całkowitej likwidacji różnic między miastem i wsią.

Zygmunt Koczorowski

NOWOŚĆ

Ukazał się ciekawy zbiór wspomnień żołnierskich pt.

„Słowa Żołnierskie"

Wstęp J. Przymanowskiego

Stron 380 zł 18,70

Nakładem

WYDAWNICTWA MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

ZMIERZCH gęstniał z minuty na minutę, powietrze było mgliste i wilgotne. Morozow wzmocnił światła reflektorów i zmienił bieg. Jechali teraz znacznie wolniej, droga rozwidlała się w kilku miejscach, co jakiś czas wyskakiwał ostry zakręt. Dopiero na szesnastym kilometrze przed Siewierskiem „pięćsetka" Morozowa znowu nabrała pełnego oddechu. Ten odcinek drogi — do samej MTS — był prosty, jak strzała. Stanęli przed biurem akurat w tej chwili, kiedy uderzył grad.

— Ot, psia pogoda — odezwał się pierwszy Wiktor Pietrowicz Własow, zeskakując z tylnego siodełka wprost na ganek.

Mikołaj Siergiejewicz Morozow nie od razu odpowiedział. Odstawiwszy motor do garażu, pośpiesznie zawrócił i dopiero teraz jakby przypomniał sobie uwagę głównego agronoma.

— Gorzej, niż psia pogoda — rzucił ponurym głosem — i urwał.

Kiedy znaleźli się w gabinecie Morozow rozwinął swoją myśl:

— Plucha, pal sześć. Nic by nam nie zaszkodziła, gdyby — uważasz — z melioracją było wszystko w porządku. Ale słyszałeś co powie-

dzieli w kołchozie „Budionnego": „Uchwała Partii wzywa do walki o obfitość urodzaju, my już szykujemy batalię, a jak tam Siewierska MTS". Rozumiesz sam, Pietrowicz, to jest wyzwanie pod twoim adresem.

Główny agronom, Wiktor Pietrowicz, skinął potakująco. Wyjął z bocznej kieszeni notes i automatyczny ołówek, z którym się nigdy nie rozstawał. Na jakiś czas zaległo milczenie.

— Otóż to — podjął po chwili Własow — gdyby osuszyć mokradła i torfowiska w „Budionnym"...

— Kalkuluj w skali całego rejonu — przerwał Morozow — mokradła i podmokłą glebę masz prawie wszędzie.

— Czekaj — obruszył się Własow, bębniąc palcami po otwartym notesie — skalkulowałem i to. Gdybyśmy przeprowadzili osuszenie mokradeł w całym rejonie przybyłoby nam jeszcze tej wiosny sporo nowej ziemi pod uprawy — to jedna korzyść. Zmeliorowanie starych, podmokłych gruntów dałoby dalszą zwyżkę plonu — liczę ostrożnie: w zbożu o 4 kwintale, w ziemniakach o 20 kwintali. To druga korzyść. Mogę ci, zaraz podać orientacyjnie, ile można w ten sposób uzyskać w skali rejonu.

Ale Morozow bynajmniej nie był tym wyliczaniem zachwycony. Na jego wysokim czole zarysowała się jeszcze mocniej pionowa bruzda. Przeszedł kilka kroków wzdłuż pokoju i zatrzymał się przed ścianą, na której wisiała mapa rejonu.

— Twój rachunek, Pietrowicz, na pewno jest prawidłowy. Tylko po co ty mnie agitujesz za melioracją? Czy ja jestem jej przeciwny?

— Mikołaju Siergiejewiczu! — obruszył się na dobre główny agronom. — Jesteś dyrektorem MTS, masz piętnaście lat praktyki. Kto mógłby, o tobie powiedzieć, że nie doceniasz melioracji?

— Chodzi więc o to — Morozow pominął ostatnią uwagę — żebyś uwzględnił w swoim rachunku i ten „drobiazg" — na ostatnim słowie Morozow położył specjalny akcent — czy mamy u siebie tylu mechanizatorów i taki park maszynowy, żeby przeprowadzić całą robotę w ciągu jednego sezonu?

Wiktor Pietrowicz Własow zrozumiał o co chodzi.

— Naturalnie, nie mamy. Ale Partia i Rząd skierowuje specjalistów do MTS i kołchozów.

— Otóż to właśnie. To jest nasz punkt wyjściowy — zapalił się Morozow. — Ma się rozumieć, nie będziemy bezczynnie czekać, aż przyjdą do nas specjaliści. Partia i Rząd mają blisko 8.000 MTS. A my, mamy tylko jeden rejon — siewierski. Musimy więc postarać się o to, aby wyjść Partii naprzeciw. Trzeba rozejrzeć się po kołchozach i dobrać ludzi do melioracji. Można by specjalne brygady utworzyć. Chętni znajdą się chyba, jak myślisz, Wiktorze Pietrowiczu?

Ostatnie pytanie dyrektora było raczej retoryczne. Już następnego dnia na apel MTS-u odpowiedziało osiem kołchozów. Chętnych nie brakowało. Ale bez doświadczonych mechanizatorów i nowoczesnego sprzętu nie można przecież ani osuszyć mokradeł w skali całego rejonu, ani przeszkolić ludzi. Na to trzeba by kilku lat, nie jednej jesieni. Mikołaj Siergiejewicz Morozow ani myślał jednak ustępować. Zadzwonił dwa razy do obkomu, posprzeczał się nawet z dyżurnym instruktorem „Zapomnieliście o siewierskiej MTS, towarzyszu, czy jak? Ani jednego mechanizatora dotąd nam nie daliście. A czas, rozumiecie szybszy niż zając".

Instruktor obwodowego komitetu odpowiadał uparcie to samo: „Pamiętamy o was, towarzyszu Morozow. Dostaniecie z powrotem najlepszego mechanizatora. Wasiliew do was przyjedzie. Powinien już awizować swój przyjazd".

Jednakże Aleksander Afanasjewicz Wasiliew, wychowanek siewierskiej MTS, który przed pięciu laty pojechał do Leningradu, gdzie kształcił się, pracując jednocześnie w przemyśle, — mimo zapewnień obkomu — nie dawał żadnego znaku o sobie.

Któregoś dnia, kiedy Morozow siedział u siebie w gabinecie pogrążony w planach wiosennych siewów, do pokoju wszedł barczysty mężczyzna w średnim wieku. Odstawiwszy na bok skórzaną walizkę zwrócił się bez pośpiechu do Morozowa.

— Dzień dobry, towarzyszu dyrektorze! Jestem Anatol Krepkin.

Siergiejewicz Morozow spojrzał uważnie na przybysza, nazwisko nic nie mówiło.

— Anatol Krepkin? Proszę siadajcie. Prawdę mówiąc nie przypominam sobie...

— Zgadza się. Jestem pierwszy raz w siewierskiej MTS, nigdy tutaj nie byłem. Ale mój przyjaciel Aleksander Afanasjewicz Wasiliew z tych stron rodem...

— Aa... — Morozow poderwał się z krzesła — wy od Wasiliewa?

— Z jego ramienia — odpowiedział z godnością Krepkin. — Jeszcze dwóch mechanizatorów przybędzie do was pojutrze, też z jego ramienia — można powiedzieć. Jeśli i mnie zechcecie doliczyć — macie trzech. A Wasiliew — czwarty. Oczekujcie go dzisiaj w nocy. Teraz właśnie — Anatol Krepkin sięgnął do kieszeni po zegarek — Aleksander Afanasjewicz Wasiliew kończy w 200 procentach nasz plan produkcyjny na pierwszy kwartał. O godzinie 12 w południe przekaże dyrekcji ostatnią można powiedzieć — zapiętą na wszystkie śrubki — ponadplanową kopaczkę...

*

W cztery dni później 28 brygad melioracyjnych pod kierunkiem mechanizatora technika Wasiliewa rozpoczęło fachowe przeszkolenie, aby — gdy tylko nadejdą pierwsze dni przedwiośnia — hektar po hektarze przekształcać nieużytki w żyzną glebę.

R. F.

Mal. Renato Guttuso

RENE ANDRE

SOJUSZ KRZEPNIE W WALCE

Neapol, w lutym 1954

W GRUDNIU ub. r. znowu miały miejsce fakty zajmowania odłogów przez bezrolnych chłopów Kalabrii. Od La Castella do Cutro braccianti (bezrolni) wyszli ze swych nor, aby zająć i uprawić ziemię obszarniczą.

„Saccheggia" — bunty chłopskie — nie są w Kalabrii nowiną. Od z górą wieku co parę lat bezrolni wychodzą na pola, aby je zająć i uprawić. Jednak potęga panów feudalnych wydawała się niezwalczona. Po latach zmagań chłopi kalabryjscy wyciągnęli naukę z krwawych doświadczeń: w pojedynkę nigdy nie będą mogli stawić czoła obszarnikom; tylko zjednoczeni, tylko w oparciu o wspólną bazę produkcyjną, i przy pomocy klasy robotniczej zdołają przeciwstawić się zjednoczonej sile reakcji: feudałom, policji, Watykanowi i amerykańskim likwidatorom niezależności ekonomicznej Włoch. W ten sposób narodziły się przed dwoma laty pierwsze we Włoszech spółdzielnie rolnicze — chłopski wkład w ogólnonarodową walkę o pokój, wolność i pracę.

Zdecydowana postawa mas chłopskich, prowadzonych i organizowanych przez klasę robotniczą zmusiła chrześcijańsko - demokratyczny rząd włoski do stosowania nowych metod walki. W tym celu powołano do życia SILA (Włoskie Towarzystwo Rolnicze), które „wywłaszczyło" za olbrzymim odszkodowaniem baronów feudalnych południa. Ta rządowa „reforma rolna" pozbawiła ich jedynie najmniej urodzajnej ziemi, a równocześnie oddała do ich dyspozycji miliony lirów na dalszą walkę z masami ludowymi. Pozbywszy się kamienistych ugorów, baronowie Baracco, Gallucio i Berligieri zainkasowali sumy, sięgające 400 milionów lirów.

TRAKTORY

Z Isola Capo Rizzato droga biegnie długim szlakiem przez ziemie, siłą wyrwane feudalnym baronom. Większość tej ziemi uprawiają indywidualni chłopi, reszta należy do kilku spółdzielni rolniczych, które — mimo nieustannych ataków rządu — zdołały nie tylko utrzymać się, ale i rozwinąć.

Pierwsze miesiące były dla spółdzielni niezmiernie ciężkie. Brak ziarna siewnego, siły pociągowej i narzędzi stanowił — zdawało się — nieprzezwyciężone przeszkody. Z pomocą przyszedł zapoczątkowany przez partię komunistyczną ruch solidarności. Z całych Włoch napływały dary. Robotnicy Turynu i Mediolanu, Rzymu i Bolonii wysyłali do Isola Capo Rizzuto narzędzia rolnicze, ubranie i żywność. Metalowcy z Terni wyprodukowali w darze dla kalabryjskich chłopów pięć traktorów. Potem przyszedł najwspanialszy dar — maszyny rolnicze, ofiarowane włoskim chłopom przez chłopów radzieckich. Pierwsze w kraju spółdzielnie rolnicze przetrwały w ten sposób najgorszy okres, a ich osiągnięcia stanowią wzór dla wszystkich włoskich chłopów.

Mój przyjaciel, Marco z Crotone, opowiada o szykanach, jakie stosowali i nadal stosują feudałowie, aby zniszczyć dorobek spółdzielni.

— W roku ubiegłym „nieznani sprawcy" usiłowali trzykrotnie zniszczyć zasiewy. Znany w okolicy „mafioso" (bandyta) Julio Leonardo podpalił nawet spółdzielcze zabudowania. Na szczęście pożar udało się szybko ugasić. Ale, gdy chłopi zwrócili się do policji, by aresztowała podpalacza, komisarz powiedział, że to nie jego sprawa. A Leonardo śmieje się tylko z chłopów.

— Nic mu nie można zrobić, gdyż on pracuje dla barona Berlingieri — dodaje stary chłop, Paolo Bernari.

— No, dobrze — pytam — a co właściwie robi SILA?

— SILA, to instytucja baronów i dla baronów — odpowiada Marco.

Rząd przeprowadził „reformę rolną", dał SILA traktory, ale „rządowa ziemia" nadal leży odłogiem. A traktory SILA uprawiają za darmo ziemię obszarników. Gdy spółdzielnie zwróciły się o wypożyczenie traktorów, SILA zażądała, tytułem dzierżawy, „tylko" 80 procent zbiorów. Zresztą SILA nie należy wcale do rządu włoskiego, lecz do grupy monopolistycznych towarzystw: „Fiat", „Montecatini" i „Terni". Rozumiecie teraz, dlaczego SILA nie chce pomagać chłopskim spółdzielniom?

WALKA TRWA

Walka włoskich mas ludowych przeciwko feudałom i reakcyjnym rządom nie ustaje ani na chwilę. Braccianti z Kalabrii wiedzą, że nie są osamotnieni w swej walce. Za nimi stoi klasa robotnicza Włoch i zahartowana w bojach Partia Komunistyczna. Jedność działania włoskich mas ludowych znalazła obecnie wyraz w masowych demonstracjach i strajkach. Ludzie pracy miast i wsi protestują w ten sposób przeciwko oddaniu przez reakcję władzy w ręce znienawidzonego policjanta — Scelby, domagają się poprawy warunków pracy i życia. Turyn i Mediolan, Genua i Rzym, Kalabria i Kampania są od wielu dni świadkami tak potężnych demonstracji, jakich kraj nie przeżywał od czasów krwawej niedzieli w Modenie. Policja nie żałuje broni; leje się krew, padają trupy.

Nie odstrasza to narodu. 17 lutego rozpoczął się w całych Włoszech imponujący strajk dwóch milionów chłopów - dzierżawców, walczących m. in. o rewizję umów zbiorowych, narzuconych przez faszystów jeszcze w 1928 roku. Umów tych dotychczasowe rządy strzegą, jak oka w głowie.

Włoska klasa robotnicza i masy chłopskie zdecydowane są doprowadzić do utworzenia rządu prawdziwie demokratycznego. I walkę o taki rząd toczyć będą aż do zwycięstwa.

René André

Sprawy międzynarodowe

ZBIGNIEW KLEJN

DO POKOJU — DROGĄ ROKOWAŃ

Kończąc kilka tygodni temu nasz komentarz do rozpoczynającej się właśnie konferencji berlińskiej zacytowaliśmy wypowiedź znanej francuskiej dziennikarki burżuazyjnej, Geneviève Tabouis. Przebywająca wówczas w Berlinie publicystka już po kilku dniach obrad oświadczyła m. in., że konferencja zapoczątkuje serię rokowań międzynarodowych z udziałem Chińskiej Republiki Ludowej. Pogląd p. Tabouis, odbiegający od celowo szerzonego przez część prasy zachodniej pesymizmu, przytoczyliśmy jako dowód, że nawet wśród prasy burżuazyjnej istnieją ludzie trzeźwo oceniający sytuację międzynarodową oraz dostrzegający potęgę woli pokoju, ożywiającej masy ludowe całego świata.

Końcowy komunikat konferencji wykazał, że dostrzegli to również zachodni ministrowie spraw zagranicznych. Konferencja przyniosła największy sukces właśnie w tym zagadnieniu, którego rozpatrywania najbardziej starał się uniknąć p. Dulles oraz działający pod jego naciskiem pp. Eden i Bidault. Mimo prób niedopuszczenia do omawiania tego zagadnienia, mimo bezskutecznych usiłowań przerwania nad nim dyskusji, sprawa konferencji pięciu wielkich mocarstw dla rozpatrzenia możliwości zmniejszenia napięcia międzynarodowego stała na porządku dziennym do końca obrad. Zapowiedź więc zwołania do Genewy konferencji dla uregulowania kwestii koreańskiej i przywrócenia pokoju w Indochinach wykazuje, że wśród trzech ministrów zachodnich doszło do poważnych tarć. Między Dullesem, przysięgającym, że nigdy nie zasiądzie do wspólnego stołu z min. Czou En-Lai, a Dullesem, podpisującym zgodę na konferencję genewską, stały tygodnie cierpliwych tłumaczeń min. Mołotowa, ukazujących krajom zachodnim jedyną drogę rozwiązania problemów międzynarodowych — drogę rokowań. Trafiało to na pewno do przekonania min. Edena, którego kraj właśnie w czasie konferencji poważnie rozszerzył swój handel z krajami obozu pokoju. Jeszcze bardziej przemawiało to do rozumu min. Bidault, od lat nie umiejącego znaleźć wyjścia z impasu, w jaki wpędziło rząd francuski wojna z Wietnamską Republiką Demokratyczną. Właśnie w Berlinie otrzymał on zapewne poniższą wypowiedź francuskiego głównodowodzącego w Indochinach, gen. Navarre, wysłanego tam przed rokiem dla zwycięskiego i szybkiego zakończenia wojny: „nawet w roku przyszłym nie będziemy mogli zadać przeciwnikowi decydującego ciosu".

Coraz trudniej było przeciwstawiać się logicznym wywodom delegacji radzieckiej. Narody bowiem bacznie obserwowały obrady. Francuski dziennik burżuazyjny „Monde" pisze więc, że na decyzję ministrów zachodnich wpłynęła niewątpliwie wyraźna wola Związku Radzieckiego stworzenia atmosfery odprężenia, rozwoju francuskiego ruchu na rzecz pokoju w Indochinach oraz — jak pisze — coraz bardziej wyczuwalna u niektórych przywódców amerykańskich tendencja do zrezygnowania z usiłowań zmiany istniejącej w Azji sytuacji. Rezygnacja ta — dodajmy od nas — wywołana została świadomością potęgi Chin Ludowych i nieodwracalności wielkich przemian społecznych, jakie nastąpiły w ostatnich latach w południowo - wschodniej części Azji. Stwierdza to wyraźnie angielski dziennik prawicowy „Star" w artykule pt.: „Wielki krok naprzód": „Jest niewątpliwie osiągnięciem nakłonienie Dullesa do uczestniczenia wraz z czerwonymi Chinami w konferencji genewskiej... Komunistyczny rząd Chin jest niewątpliwie jedynym rządem, który powinien wziąć udział w takich dyskusjach i ten twardy fakt został w końcu wzięty pod uwagę w realistyczny sposób". A konserwatywny „Times" dodaje „Rosja niewątpliwie przekonała mocarstwa zachodnie o konieczności... przyjęcia Chin do rzędu wielkich mocarstw".

Innym dowodem olbrzymiego nacisku opinii publicznej na berlińskie sale obrad jest zgoda zachodnich ministrów na radzieckie propozycje kontynuowania wymiany poglądów w celu przyczynienia się do pomyślnego rozwiązania problemów rozbrojenia lub co najmniej znacznej redukcji zbrojeń.

Nie doszło do porozumienia w sprawie Niemiec i Austrii. Wielkie monopole, którym potrzebny jest w środku Europy teren dla zamieszek i prowokacji, uniemożliwiły przyjęcie doskonale opracowanych wniosków radzieckich w sprawie zjednoczenia Niemiec i zawarcia traktatu państwowego z Austrią. Niepoślednią rolę odgrywali tu hitlerowcy z Bonn, utrzymujący w czasie obrad stały kontakt z ministrami zachodnimi. Dla nikogo też nie ulega wątpliwości, w czyim imieniu występowali ci ministrowie w dyskusji nad sprawą niemiecką po znamiennej pochwale Adenauera, że „trzej ministrowie zachodni wyśmienicie reprezentowali na konferencji interesy Niemiec (neohitlerowskich — ZK). Żaden niemiecki minister spraw zagranicznych nie mógłby w Berlinie lepiej postępować".

Był taki moment w czasie obrad, kiedy zupełnie bez osłonek, ujawniła się w całej swej ohydzie amerykańska polityka remilitaryzacji Niemiec i stworzenia z Wehrmachtu hegemona zachodniej Europy w ramach tzw „Europejskiej Wspólnoty Obronnej". Nastąpiło to w chwili, gdy delegacja rządu austriackiego była — jak stwierdza to zgodnie prasa zachodnia — skłonna wyjść naprzeciw radzieckim propozycjom w sprawie traktatu państwowego. Przedstawiciel prasowy delegacji austriackiej, Kornhuber oświadczył wręcz, że „Mołotow i Figl (austriacki minister spraw zagranicznych) mogliby rozwiązać cały problem austriacki w ciągu jednej godziny". Wywołało to popłoch w Bonn. Jak podaje angielski tygodnik „New Statesman and Nation": „Dulles wywarł nacisk na Figla, oświadczając, że jakkolwiek kuszące jest podpisanie traktatu austriackiego, osiągnięcie takiego wyniku na konferencji byłoby poważnym kłopotem dla Adenauera i mogłoby zagrozić szansom ratyfikowania układu o EVG („Europejskiej Wspólnocie Obronnej")

Czy oznacza to, że narody istotnie dadzą się wprowadzić w błąd amerykańsko-hitlerowskim matactwom? Odpowiedzi udziela niespodziewanie prawicowy dziennik francuski „France Soir". Gazeta zmuszona była stwierdzić dosłownie, że Mołotow „osiągnął... najważniejsze cele: doprowadził do pewnego odprężenia międzynarodowego i zmiany atmosfery dyplomatycznej, uzyskując w ten sposób rozszerzenie handlu Wschód — Zachód. Rozpoczął serię rozmów i konferencji międzynarodowych, które powinny między innymi doprowadzić do zabicia szans ratyfikacji armii europejskiej i do skrępowania zbrojeń niemieckich". (podkreślenie nasze — red.).

Odpowiedź daje również sam min. Mołotow oświadczając po zamknięciu obrad: „Zadania, których na obecnej konferencji nie rozwiązano, nie zostały zdjęte z porządku dziennego. Powinniśmy kontynuować nasze wysiłki i dążyć jeszcze bardziej wytrwale do rozwiązania tych zadań". Droga do rokowań nie została bowiem zamknięta, przeciwnie — otwarta jest szerzej, niż kiedykolwiek przedtem.

Tak więc konferencja berlińska, wbrew marzeniom wszelkich reakcjonistów, przyniosła pierwsze pomyślne wyniki, wyniki, które napawają nadzieją narody świata. Milionowe masy pragnęły, by pertraktacje między wielkimi mocarstwami doszły do skutku. To się stało. Milionowe masy pragnęły, by na tej drodze nastąpiło złagodzenie napięcia w stosunkach międzynarodowych. Udało się to częściowo osiągnąć.

Od tego, jak wielkie będzie pragnienie pokoju, jak wielki będzie w tym kierunku nacisk mas na całym świecie, zależy utrwalenie i poszerzenie tych sukcesów, zależy przyszłość świata.

Zbigniew Klejn

„Piszę o książce, która dała mi najwięcej wzruszeń i korzyści"

(Z wypowiedzi nadesłanych na konkurs czytelniczy Polskiego Radia i „Wsi")

JADWIGA DEPTA

Podstępy kułaków i rola kobiety

NIE wiem, która z książek pierwsza wzbudziła we mnie miłość do mowy ojczystej. Zdaje się, że były to „Dzieje Śląska". Czytałam je, kiedy jeszcze nie chodziłam do niemieckiej szkoły. Później przeżywałam najazdy Szwedów i Turków z bohaterami Trylogii; po przeczytaniu „Krzyżaków" kłóciłam się z niemieckim nauczycielem, gdy mówił o roli Krzyżaków w dziejach naszego narodu. Zawsze i wszędzie towarzyszyły mi książki, zastępowały mi rodzeństwo i przyjaciółki, były powiernicami moich smutków i radości. „Wyrąbany chodnik" Morcinka był naszą ewangelią podczas ciężkich lat terroru hitlerowskiego. A później po wyzwoleniu ziściło się to, o czym my tylko marzyliśmy — Polska przyszła do nas. Przyszła do nas nowa Polska nie jako macocha, która ma dwojakie dzieci, lecz jako rodzona matka; obsypała nas niby swe najdroższe, długo niewidziane dzieci szczodrością swej opieki i dała nam strawę duchową — książkę, za którąśmy tak długo tęsknili. Teraz dopiero miałam możliwość czytania arcydzieł literatury polskiej, jak „Pan Tadeusz" Mickiewicza, dzieła Konopnickiej, Orzeszkowej, Prusa itd. Później, gdy byłam już bibliotekarką, ziściły się ciche marzenia mojego dzieciństwa: zostałam nauczycielką dorosłych. I niejednokrotnie ze wzruszeniem patrzyłam jak moi czytelnicy przeżywali te pierwsze polskie książki, jak — po przeczytaniu utworów Mickiewicza, Reymonta, Sienkiewicza — walił się cały gmach niemieckich kłamstw.

Teraz już trzeci rok pracuję z zespołami czytelniczymi i niejedna książka wniosła coś nowego do naszej gromady. Pod wpływem książek rolniczych poprawił się chów bydła, tuczenie świń, zwiększyła się uprawa pszenicy jarej, buraków cukrowych, końskiego zęba i kukurydzy, której dawniej u nas nie znano. „Kawaler złotej gwiazdy" Babajewskiego pomógł niejednemu z naszych chłopów przekształcić się z żołnierza frontowego w budowniczego socjalizmu. „Jak hartowała się stal" Ostrowskiego mnie samej w ciężkiej chorobie (początek gruźlicy) dodała otuchy i nadziei, że silna wola wszystko może przezwyciężyć.

Dziś jednak chciałabym napisać parę słów o książce, która najpierw mnie, a później cały nasz zespół czytelniczy niezmiernie zainteresowała. To „Most nad urwiskiem" — Olchy. Dwa problemy nas tu zastanawiały: podstęp kułaków i rola kobiety w Polsce Ludowej Nad machinacjami kułaków zastanawiałam się już w „Zorannym ugorze" Szołochowa i w „Ludziach zza rzeki" Bartelskiego. W „Moście nad urwiskiem" widać jednak szczególnie silnie ich chytrość i podstęp przy zaopatrywaniu sklepu w nieodpowiedni towar, przy wciąganiu średniaków w swoje machinacje, przy oddziaływaniu na sołtysa, demoralizowaniu młodzieży itp Po przedyskutowaniu tej książki i u nas się dużo w naszej świetlicy i spółdzielni GS zmieniło — i mamy nadzieję, że się jeszcze więcej zmieni, bo chłopi się szykują na wyjazd dla zwiedzenia spółdzielni produkcyjnych w naszym powiecie.

Ale jeszcze więcej zainteresowałam się życiem Agnieszki. Agnieszka była biedna, wyznaczono ją w czasie wojny na wyjazd do Niemiec. Młoda, nieświadoma dziewczyna zaufała chłopcu ze swej wioski, a ten wykorzystuje ją i porzuca. Po powrocie do kraju ani wspomni o niej lub dziecku. Agnieszka zaś dopiero po powrocie do Polski uświadomiła sobie, że każde dziecko — to skarb dla narodu, że to już nie Polska sanacyjna, gdzie każde dziecko oznacza mniej chleba, a więcej trosk dla matki. Agnieszka zdobywa w Polsce Ludowej zawód, co by w Polsce sanacyjnej w ogóle nie było możliwe — zostałaby biedną wyrobnicą, jak jej matka. Poznajemy w tej książce troskę Państwa Ludowego o każdego swego obywatela, Agnieszka nie walczyłaby samotnie o swoje dziecko; gdyby nie pomoc ambasadora Rzeczypospolitej Ludowej nie otrzymałaby swego dziecka z powrotem. Agnieszka walczyła o swoje dziecię bo poznała, że w Polsce Ludowej i bez ojca będzie mogła przy pomocy rządu wychować dziecko.

Przedyskutowanie tej książki w zespole pomogło jednej dziewczynie do wyzbycia się niesłusznego wstydu swego stanu; pozostała ona nadal w naszej gromadzie i wzorem Agnieszki zdobyła zawód i stworzyła własny dom.

Proszę Cię, Redakcjo, podziękuj autorowi książki.

Jadwiga Depta

Bohater — aktywista wiejski

W powieści Juliana Gałaja pt. „W rodzinie Lebiodów" bohaterem jest 20-letni Stach Lebioda, syn małorolnego chłopa. Ale ojciec Stacha ulega całkowicie wrogiej plotce bogatych sąsiadów, Stach zaś — w przeciwieństwie do ojca — zajął się sprawami społecznymi gromady. Do Stacha przyłączył się jeszcze Krówka i Nidręga, obaj PPR-owcy. Wszyscy trzej podejmują odbudowę swej wsi, lecz bogacze: Sałek, Wronek, Judzyński, Leśniewski i inni przeszkadzali im w pracy jak tylko mogli. Stach czytał gazety, uczył się gospodarować po nowemu, przekazywał zdobytą naukę chłopom na zebraniach, organizował współzawodnictwo między Rzeczycami a sąsiednią gromadą. Ale gospodarze, buntowani przez Sałka i jego wspólników, nie chcieli słuchać rad i wskazówek Stacha. Ojciec wypędził go z domu. Stach zamieszkał u Krówki. To go wcale nie załamało — jeszcze więcej pracował. Przy pomocy towarzyszy założył spółdzielnię, w której ekspedientką została córka Judzyńskiego, Irka, rozumiejąca wrogą politykę ojca.

Zbudowali dom ludowy, założyli we wsi elektryczność. Stach zajął się organizowaniem pomocy sąsiedzkiej. Zmusił bogaczy, aby wypożyczali małorolnym chłopom siewniki i konie po cenie państwowej. Sprowadził też siewnik z POM-u. Sam jeździł od jednego do drugiego gospodarza i obsiewał pola.

Pewnego wieczoru, gdy Stach powracał od Irki, która opuściła dom ojca i zamieszkała przy spółdzielni, napadli go Sałek Wronek i Judzyński i zranili śmiertelnie. Stary Lebioda, który właśnie chodził po podwórzu, usłyszał jęki; wnet też odnalazł syna broczącego krwią. Po długim, starannym leczeniu Stach odzyskał w szpitalu zdrowie. Morderców wykryto i zdemaskowano. Wtedy dopiero ojciec Stacha i jego sąsiedzi zrozumieli, o co Stach walczył.

Szkoda tylko, że autor nie opisał dalszych dziejów Rzeczycy po zdemaskowaniu bogaczy.

Niejeden taki Stach, jak z powieści Gałaja, poświęcił się sprawie budowania lepszego jutra na wsi. Dla takiej sprawy warto oddać życie. I takich, jak Stach, pokochają najlepsze dziewczyny.

Teresa Zydorówna (lat 16)
Białobrzeg, pow. Września
p-ta Wiąbczyńkowskie Holendry
woj. poznańskie

*

Starzy chłopi powiadają: „najdłużej pamiętam to, co w moim życiu było najtrudniejsze, najcięższe do rozwiązania". Lata 1947—48 były w powojennej historii wsi polskiej najtrudniejszym okresem. Rzeczyce, wieś rodzinna Lebiodów i tysiące innych, wkraczały w walce z przeżytkami kapitalizmu na nową drogę, na drogę spółdzielczości nie tylko w dziedzinie zbytu i skupu, ale również — produkcji. W miarę jednak jak dążenie do nowego brało rozmach, jak rzeczycy dochodzili do wniosku, że rację mają nie Judzyński i jemu podobni, ale Stacho Lebioda, Krówka czy Niedręga — rosła walka z wrogami szczęścia i dobrobytu materialnego i kulturalnego na wsi.

Podczas czytania „W rodzinie Lebiodów" stanęły mi przed oczyma jak żywe owe dni, w których my, młodzież wiejska w Starym Strączu, nie zważając na plotki, na pogardliwe uśmiechy sąsiadów czy niezadowolonych rodziców — organizowaliśmy życie świetlicowe, kiedy pomagaliśmy bez zapłaty przy budowie 7-klasowej szkoły, kiedy naprawialiśmy w ramach zobowiązań pierwszomajowych drogę we wsi, kiedy prowadziliśmy linię radiofonizując wieś... Pracy było dużo, ale energii i młodzieńczego zapału jeszcze więcej. Podobnie jak młodzież rzeczycka mieliśmy też wiele przeszkód do zwalczenia.

Jedną z największych była plotka.

Wróg rozsiewający bzdury, starannie się ukrywał. Nie dało się z nim walczyć wręcz; był nieuchwytny, szkodził. Czytając powieść Gałaja byłem zdziwiony, że wrogowie nowego życia Judzyński, Wronek czy Sałek działali tak jawnie: znani wszystkim jako wrogowie. Takiego wroga łatwo unieszkodliwić! My musieliśmy zwalczać plotki u odbiorcy tych plotek, u mało- i średniorolnego chłopa, musieliśmy po tysiąc razy tłumaczyć, że chłopi pracujący nie mają dwóch dróg — że ich jedyną drogą jest droga do socjalizmu. W tym „wirze walki" nie zastanawialiśmy się, skąd bierze się w nas siła i samozaparcie. Po przeczytaniu dziejów Stacha Lebiody zrozumiałem, że źródłem było i jest dla nas gorące umiłowanie ludu, gorące pragnienie, by wieś od wieków umęczona, stała się wsią szczęśliwych ludzi, budujących socjalizm.

W książce Gałaja podobała mi się prostota, z jaką autor opowiada o ludziach wsi. O życiu codziennym i największym uczuciu — o miłości, mówi słowami dla każdego zrozumiałymi. Widać poprzez nie szlachetną walkę przepojonego nienawiścią do wrogów Stacha Lebiody, widać wahających się średniorolnych, Glinka i Kończaka, widać również wrogów zajadłych nowego życia: Judzyńskiego, byłego hitlerowskiego agronoma, handlarza bimbrem, czy kułaków — Wronka i Sałka.

Czytając o życiu Stacha — aktywisty wiejskiego uczyłem się, jak trzeba postępować, aby przełamywać jedne trudności po drugich. Bezcenne wskazówki i rady wysnułem z tej książki. Umocniłem się w przekonaniu, że szczęścia swego trzeba szukać w szczęściu ogółu. „Mnie się zawsze zdaje, że przyjdzie czas, kiedy zamiast takich rozproszonych chałupek pokrzywionych, zgarbaciałych, zobaczę jeszcze budynki, o jakich nikomu się nie śni. Stąd, tutaj zobaczymy w przyszłości wielki gmach, większy od naszego Domu Ludowego, a w gmachu tym będzie wszystko — czytelnia, biblioteka, kino, teatr! Irka, warto męczyć się, by chociaż na stare lata zobaczyć to" (str. 201). Stacho dąży do tego celu wytrwale i z uporem. Nie zważał na pogróżki, na złe oczy, na przekupstwa, na plotki, ani na orczyk wroga wymierzony w jego skroń.

Wszystkim moim rówieśnikom radzę przeczytać tę porywającą książkę. Stacho, główny bohater, to wzór dla wiejskiego aktywisty, który gorąco ukochał rodziców, wieś rodzinną, dziewczynę i ziemię. Tą jedyną drogą, tak jak szedł nią Stacho, możemy iść teraz pewniej, szybciej. Gdyby autor napisał ciąg dalszy dziejów Rzeczyc, pokazałoby się, że nie trzeba już mówić „by chociaż na stare lata zobaczyć to". Zbudujemy i wywalczymy wcześniej.

Adam Orłowski (19 lat)
Stare Strącze, pow. Głogów

Rysunki do „Janka Muzykanta"

Rysunki, te wykonała Jadwiga Białek, ludowa artystka ze wsi Chechły pow. Kopczyca. Rysunkami swoimi włączyła się ona do grona uczestników konkursu pokazując w ten sposób, jak przeżyła i zrozumiała los Sienkiewiczowskiego „Janka Muzykanta".

FRANCISZEK SOCHAJ

Książka jakby o mojej matce

Ogłosiłaś Redakcjo tak zachęcający konkurs, że każdy chciałby w nim wziąć udział i zwierzyć Ci swoje przeżycia.

Tak się do tego przyzwyczaiłem, że po pracy czytam zawsze w ciche i długie wieczory. Najpierw gazety. W nich podają wieści ze świata, piszą o nowych sposobach gospodarowania, o lepszym uprawianiu roli i wielu ciekawostkach — trzeba czytać gazety i uczyć się z nich, żeby w tyle nie zostać ze swoimi wiadomościami.

Potem książki. Już ich wiele przeczytałem, jedna od drugiej ciekawsza, a tak jakoś wierzę w to, co czytam, że uśmieję się nieraz do rozpuku i napłaczę nad smutną dolą bohaterów.

Ale żadna z dotychczas przeczytanych książek — nie zrobiła na mnie takiego wrażenia jak mała, w szarej okładce, powieść **Orzeszkowej „Dziurdziowie"**. Tę książkę przeżywałem nie jako powieść o nieznajomych, może nigdy nie istniejących ludziach, ale o mnie samym, o mojej matce, rodzeństwie, o wiosce rodzinnej i o wszystkim, co znam i pamiętam. W miarę czytania łzy niemęskie napływały mi do oczu. Płakałem pierwszy raz od wielu lat. W niedoli Piotrusi, bohaterki opowiadania odnalazłem bowiem niedolę mojej matki. Płakałem też nad ciemnotą wielu, wielu „Dziurdziów" w naszych przedwojennych wioskach... Było to dawno, 30 lat temu. Na wzgórzu za wsią stała nasza chatka. Z dala bieliły się ściany, w słońcu lśnił nowoposzyty ze słomy dach, a w malutkim oknie śmiała się czerwona pelargonia. Duma rozpierała wtedy moje 7-letnie serce, gdy tak patrzyłem na nasze obejście.

Matka wróciła z uzbieranymi ziołami, wysypała je z zapaski przed progiem i spiesznie zabrała się do gotowania obiadu. A my — tzn. ja i Anielka, —moja starsza siostra — usiadłszy na progu, przebieraliśmy zioła na osobne kupki. Skrzyp do skrzypu, dziewanna do dziewanny, dziurawiec, rumianek itd. Potem się to suszyło, a potem matka zanosiła do apteki w mieście, za co otrzymywała drobną zapłatę.

Ze wsi przychodziły kobiety po radę na boleści brzucha, biegunkę, albo zatrzymanie — zawsze dostawały garść ziół, które mogły pomóc ale nie zawsze pomogły. I wtedy sypały się babskie klątwy, narzekania, albo przezwiska na moją matkę. Nieraz obiło mi się o uszy słowo „czarownica", byłem pewny, że to matkę tak nazywają. A matka znosiła jednakowo pochwały i nagany ludzkie i zawsze była spokojna i dobra.

Ojciec pracował we dworze, był stelmachem. Zwykle w południe czekaliśmy na niego z Anielką przy drodze. Z daleka witał nas uśmiechem, biegliśmy mu naprzeciw. Wtedy wtykał nam skrycie do rąk po jabłku i razem wracaliśmy do domu na obiad. Bardzo lubiliśmy owoce, a w domu nigdy ich nie było.

Ale jednego dnia czekaliśmy na próżno. Ojciec nie wrócił — nigdy już nie wrócił. Zmarł nagle przy pracy. Był chory na serce, nie leczył się, a pracował ciężko. Nie wytrzymał. W domu zapanowała rozpacz. Matka chodziła milcząca, z załamanymi boleśnie rękoma.

Po kilku dniach obezwładniającego smutku Józek, mój najstarszy brat, 16-letni chłopak, zgodził się do roboty w kamieniołomie. Pracował tam całymi dniami, a wieczorem gdy wracał, padał na łóżko jak kłoda. Już nie dokazywał z nami jak dawniej. Widocznie czuł się głową rodziny, albo, co pewniejsze, był bardzo zmęczony. W każdą sobotę przynosił wypłatę, niewiele tego było, ale kładł z dumą na stole przed matką.

My wraz z matką łaziliśmy jak dawniej za ziołami. Widmo głodu zaglądało do nas, ale znikało, kiedy wracał chleb, ziemniaki lub kasza.

Jesienią we wsi wybuchła zaraza na świnie. Wszystkie wyzdychały. Ludziska narzekali, lamentowali, w końcu dobijali, bo szkoda było zakopać. Radoszka, najbliższa sąsiadka, przybiegła do nas po zioła dla chorego prosięcia. Matka przez życzliwość nie tylko dała ziół, ale sama poszła zobaczyć objawy choroby. Zioła nie pomogły i prosię zdechło, a drugie zachorowało. Pomór ogarnął wieś lotem błyskawicy.

Upłynął może miesiąc od tej plagi, kiedy pewnego dnia po południu przyszło do nas dwu ludzi. Był to Miękina i Bodura, najzamożniejsi gospodarze w całej gromadzie. Stanęli przed chałupą a Miękina huknął głośno: Hej tam!

Matka wytarła mokre ręce w zapaskę i stanęła w progu. — Do izby chodźcie — zapraszała z uśmiechem — proszę, proszę!... Nie weszli.

„My do was — zaczął Miękina — w takiej sprawie, żebyście się z naszej wsi zaraz wynieśli. Zaraz, rozumiecie? Bo jak nie, to was stąd wykurzymy. Nie chcemy mieć czarownicy, co uroki rzuca na dobytek.

— Ludzie, co wygadujecie! — krzyknęła matka. — Za co? Co ja wam uczyniłam złego? Chatę mam tutaj; gdzie mam iść?... Za co?

Nowe nieszczęście spadło na nas, niby grom. Matka chodziła jak nieprzytomna, przeżywała cały ogrom beznadziejności. Wtedy zauważyłem, że czarne jej włosy posiwiały, jakby kto popiołem posypał. I ja po swojemu martwiłem się. Nie mogłem sobie wyobrazić życia z dala od naszej wsi, bez domu, wśród nieznajomych, obcych ludzi.

Musieliśmy ulec ciemnocie i złości ludzkiej.

Pamiętam, gdy odchodziliśmy, była jasna noc księżycowa. Gwiazdy mrugały, a mnie było tak smutno, tak bardzo smutno! Obładowani tobołami staliśmy na ukochanym wzgórzu, żegnając rozpaczliwym szlochem nasz biały, rodzinny dom. A potem ociążale zeszliśmy na drogę.

Wieś spała. Tylko psy poszczekiwały przyjaźnie, jakby gawędliwie. Szliśmy powoli, odpoczywając co trochę. O świcie dotarliśmy do lasu, 15 km od wsi.

Szliśmy długo, długo, przedzierając się przez leśne zarośla. Nareszcie przebyliśmy las i znaleźliśmy się na równym, zielonym pastwisku. W dali ujrzałem na wpół rozwaloną szopę, pewnie schronienie pastuchów, wskazałem na nie ręką. Matka kiwnęła głową i bez namysłu ruszyła, a my poszliśmy za nią. Tę nędzną szopę w mig poprawiliśmy i opatrzyliśmy. Nikomu z nas, dzieci, nie przyszło do głowy, że szopa nie jest nasza, ani grunt pod nią; jedynie matka pojmowała grozę naszego położenia i siedziała zmartwiona, patrząc obojętnie na nasze zbytkowanie.

Na kolację dostaliśmy po kawałku chleba, który smakował mi nadzwyczajnie. Późno już było, jak pokładliśmy się na posłaniu z mchu. Jakże cudownie się spało po tych trudach, choć budziło trochę matczyne wzdychanie; ona nie spała...

I popłynęły nowe dni. Józek chodził do roboty, a my z matką zbieraliśmy w lesie zioła jak dawniej. Czasami tęskno było za wsią, za chatą zaciszną i ładną. Matka na pewno wciąż tęskniła, bo była smutna, milcząca i nigdy nie śmiała się.

Raz w trzy tygodnie po tym osiedleniu się zgubiliśmy się w lesie. Wróciliśmy sami do szopy, a matki jeszcze nie było. Wróciła dopiero wieczorem. Nie mieliśmy lampy ale przy księżycu ujrzałem pobladłą i wylękniona twarz matki; nie przyniosła ziół, a rękami przytrzymywała strzępy podartej sukni. Milczała i my też, ale poznaliśmy od razu, że stało się coś złego. Na posłaniu w kącie legła, z cicha stęknąwszy — i już nie wstała. Opowiedziała nam w kilku urywanych, bezładnych zdaniach o wydarzeniu. Spotkał ją gajowy, kiedy zbierała zioła. Rzucił się na matkę i kolbą karabinu bił i bił bez litości. A potem splunął na leżącą i kopnąwszy butem, rzucił przez zęby: — „Złodziejka, czarownica!" i dopiero odszedł. Długo leżała matka bez sił, wreszcie z wielkim trudem podniosła się i przywlokła do domu.

Gotowaliśmy jej różne zioła. Piła, ale nie pomogły. Matka leżała, schła i tlała.

Nędza swą okropną mordą zajrzała do szopy. Zarobki Józka nie wystarczały nawet na chleb. Chodziliśmy więc z Anielką na zmianę za jałmużną.

Bywało, że przyjmowano nas litościwie i obdarowywano, ale i tak też bywało, że szczuto nas psami.

W jedno południe śmierć przyszła do chaty. Nigdy nie wyżałuję, że nie byłem przy zgonie matki. W jej zamglonych, nie widzących oczach błyszczały łzy.

Znowu stanęliśmy w obliczu nieszczęścia. Poczuliśmy się bardzo nieszczęśliwymi, zupełnie opuszczonymi sierotami. Następnego dnia przyszedł policjant i rozkazał natychmiast wyprowadzić się z szopy. Jak to dobrze, że matka nie musiała tego nowego ciosu przeżywać, jak dobrze!

Wkrótce sprzedaliśmy w miasteczku wszystko co mieliśmy.

Józek postarał się o przyjęcie Anielki do służby. Poszła na wieś za gęsiarkę. Sam szukałem sobie służby, ale jej nigdy nie znalazłem. Zostałem w miasteczku i rozpocząłem „karierę" gazeciarza. Ciężkie to było życie, oj ciężkie! Los bezdomnego dziecka jest straszny. Złamie on je niemiłosiernie, albo zahartuje na całe życie. Mnie tak zahartował, że ani męczarnie w obozie oświęcimskim, ani inne przeciwności nie zdołały mnie złamać.

Teraz pędzę wprawdzie samotne, ale spokojne i szczęśliwe życie. Ile sił staram się słowem i przykładem wpływać na sąsiadów, aby chętnie szli za postępem i zerwali z zacofaniem i uporem tkwienia w starych przesądach. Dziś już nie powtórzy się smutna historia Piotrusi i Dziurdziów. Ale właśnie — ta mała książeczka dała mi przeżyć na nowo własne, smutne dzieciństwo. Przykre wspomnienia, ale tchnące ciepłem matczynego spojrzenia, matczynego dotknięcia i gorzko pachnących ziół...

Inaczej one teraz pachną, kiedy nauczyciele zachęcają dzieci do zbierania, kiedy uczą o ich leczniczych właściwościach.

Franciszek Sochaj
wieś Rataje

POLSKIE RADIO I REDAKCJA TYGODNIKA „WIEŚ"

ogłosiły z dniem 1 lutego br.

KONKURS DLA CZYTELNIKÓW WIEJSKICH

pod hasłem

„PISZĘ O KSIĄŻCE, KTÓRA DAŁA MI NAJWIĘCEJ WZRUSZEŃ I KORZYŚCI"

Konkurs trwa do 31 marca br.

Autorów najlepszych wypowiedzi oczekują nagrody:

Nagroda I — jedna 1.000 złotych
Nagroda II — dwie — po 750 złotych
Nagroda III — pięć — po 500 złotych

Pomiędzy pozostałych uczestników Konkursu zostanie rozdzielonych 500 książek

JÓZEF LENART

WŁASNOŚĆ

Opowiadanie

Rys. M. Walentynowicz

GDY wróciłem do Zarządu Powiatowego, żadne z okien nie błyszczało już światłem. Było późno. Wszedłem do pokoju, który od roku już dzieliłem z Władkiem Michtą i zapaliłem światło. Leżał na łóżku w zakurzonym ubraniu, najwidoczniej bardzo zmęczony. Całodzienny lipcowy upał i mnie dał się porządnie we znaki — mimo, że minionego dnia nie spędziłem jak on na nienajlepszych drogach naszego powiatu. W drobnych, promienistych zmarszczkach wokół oczu kurz zastygł w ciemne, mocne kreski, które czyniły twarz Władka znacznie starszą, niż była w istocie. Przez usta lekko rozchylone wydobywał się ciężki, świszczący oddech. Tak śpią tylko ludzie ciężko spracowani. Pochyliłem się nad nim: grube, spieczone wargi ułożyły się w bezgłośny, dobry uśmiech.

— Dobre sny — pomyślałem. Nie miałem serca budzić go, aby się rozebrał. Usiadłem przy stole i zacząłem manipulować przy odbiorniku. Przez chwilę słyszałem szmery i przytłumione trzaski, potem popłynęła jakaś spokojna, cicha melodia.

Na stole leżał gruby, dobrze już podniszczony zeszyt. Był to sławny w całym powiecie notatnik Władka Michty. Słuchając melodii przerzucałem kartki, zatrzymując wzrok na datach i notatkach, które

mogły mnie zainteresować. Czytałem to i owo nie kończąc, do chwili, gdy spotkałem nazwisko „Maciejewska" wypisane nierównymi, naśladującymi druk literami. Tuż obok, na marginesie tym samym pismem wypisany był skrót: „Sp. Prod. Skarżyn, 28 kwietnia".

Ktoś, kto zna zwyczaje Władka Michty, wie, że pod nagłówkiem pisanym takimi literami znajdują się notatki, które piszący uznał za bardzo ważne. Przeczytałem z ciekawości, ale nie od razu pojąłem cały sens notatki. Później dopiero przypomniałem sobie, że w słowach jej zawarty jest jeden z tych licznych dramatów, jakie przeżywają codziennie ludzie naszego czasu.

Historię Maciejewskiej opowiadał mi po powrocie ze Skarżyna. Obiecałem mu, że pojadę tam, jakkolwiek wątpiłem, czy obecność moja może jej w czymkolwiek pomóc. W nawale pierwszomajowej roboty zapomniałem jednak i oto — teraz dopiero przywołuję pamięcią troskę Władka o Maciejewską.

Opowiadał wówczas, że znał Maciejewską od dzieciństwa. Ona również, pamięta czasy, kiedy nie nazywano go towarzyszem Michtą, ale berbeciem, na czworakach myszkującym pod ławami i stołem. Odkąd pamiętał, nazywali ją w Skarżynie komediantką, z powodu niefrasobliwego usposobienia. Aż nagle poznał Maciejewską z zupełnie innej strony. Szedł do Skarżyna, na skraju wsi, koło stawu, przy którym stoją zabudowania Maciejewskich, siedzi na brzegu szczupła, nieduża kobieta z rękami splecionymi na kolanach. Gdy podszedł bliżej, poznał Maciejewską.

„Niedawno minęło południe — opowiadał z przejęciem. — Wszyscy spółdzielcy wyszli do sianokosów na nadrzecznych łąkach, a ona — zwyczajnie bumeluje. Spotkałem Stacha Maciejewskiego i mówię:

— Czemu matka nie wychodzi do roboty? Aktywistą niby jesteś, a tymczasem...

Stacho rozłożył bezradnie ręce:

— Bumeluje. Od czasu gdy wstąpiła do spółdzielni, jeszcze ani razu nie wyszła do roboty. Do spółdzielni przekonałem ją, ale teraz poradzić sobie nie mogę. Mów co chcesz, a ona nic tylko milczy. Co ja zrobię, powiedz? Idź ty spróbować szczęścia...

Podszedłem do niej.

— Pozwolicie się przysiąść, Maciejewska.

Obejrzała mnie nieufnie, jakby twarz moją widziała po raz pierwszy i milczała w dalszym ciągu. Dopiero gdy ponowiłem pytanie, ocknęła się. Ręką zatoczyła krąg wskazując brzegi stawu i odpowiedziała ostro:

— Tyle miejsca dookoła, siadaj gdzie chcesz. Panną na wydaniu nie jestem, żeby się kawalerowie do mnie przysiadali.

Mimo opryskliwej odpowiedzi usiadłem i długo namyślałem się co jej powiedzieć. Wreszcie przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

— W sąsiedniej gminie niedawno poznałem pewną kobietę, gospodynię jak i wy na czterech hektarach. Wstąpiła do spółdzielni.

Maciejewska przyjrzała mi się powtórnie. Doszła widać do wniosku, że nie kłamię, bo odwróciła głowę i spoglądając na staw słuchała z zainteresowaniem.

— Przemyślała wszystko dokładnie — ciągnąłem — i wstąpiła. Ale następnego dnia, gdy przyszło oddać własność na wspólny użytek, z kobietą stało się coś niedobrego. Położyła się do łóżka, płacze i do nikogo słowem się nie odezwie. Spółdzielcy zmiarkowali: pewnie chora i, ponieważ trzeba dbać o zdrowie członków, zarząd uradził i nie zwlekając, powiadomił lekarza. Przyjeżdża doktor, bada długo i skrupulatnie, ale głową kręci z niedowierzaniem i twierdzi na koniec, że kobieta zdrowa. Żadnych recept nie napisał i pojechał skąd przybył. A ona nic, tylko leży z oczyma utkwionymi w sufit, markotna i milkliwa, jakby jej mowę odjęło i codziennie wygląda bardziej chora.

Przerwałem na chwilę i zapytałem:

— Jak myślicie, Maciejewska, co jej może dolegać.

— Nic, tylko robak jakiś ją gryzie — odparła. — Małoż to ludzie mają zmartwień?

— Ja też tak myślę — powiedziałem z uśmiechem, kątem oka obserwując Maciejewską. — Robak **własności** ją gryzie.

Poruszyła się, lecz głowy nie odwróciła. Mówiłem dalej:

— Własność głęboko zakorzeniła się w człowieku...

Miałem zamiar kontynuować swój wywód, ale Maciejewska raptem zerwała się:

— O mnie mówisz, wiem... A co tobie do tego, powiedz? Przyjedzie taki z powiatu i gada, serce rozdrapuje. Tobie łatwo gadać, toć nie za co innego ci płacą. A mnie boli, odejdź ode mnie.

I poszła sobie. Okrążyła stodołę, stojącą tuż nad stawem i zniknęła na gumnie".

Spojrzałem do zeszytu: na marginesie — pytanie ujęte w nawias „jak jej pomóc?" Władek spał, poświstując przez uśmiechnięte wargi. Zamknąłem zeszyt i dopiero teraz zdecydowałem się obudzić go: chciałem porozmawiać o Maciejewskiej. Ująłem jego ramię i potrząsnąłem. Otworzył oczy i nieprzytomnie wpatrywał się w moją twarz.

— Rozbierz się, towarzyszu Michta. Spać trzeba po ludzku.

— Odejdź — wymamrotał sennie i odwrócił się na drugi bok.

Tego wieczora nie udało mi się porozmawiać z nim. Ściągnąłem mu buty i bluzę, po czym przykryłem go kocem. Sam ułożyłem się na łóżku i ledwie przyłożyłem głowę do poduszki, już spałem.

Nazajutrz, wczesnym rankiem wyjechałem do wsi K., położonej w odległości czterech kilometrów od Skarżyna. Szybko uwinąłem się z robotą, po czym wsiadłem na rower i pojechałem do rodzinnej wsi Władka Michty, z myślą, że wproszę się na nocleg do Maciejewskiej.

Gdy dojeżdżałem do Skarżyna, dzień miał się ku końcowi — ciężkim, purpurowym kręgiem ognia zawisł nad pagórzastym krajobrazem. Złote za dnia, dostałe łany zboża, gdzieniegdzie dotknięte już kosą, rudziały coraz bardziej, aż przybrały lekko liliową, wrzosową barwę. Zsiadłem z roweru i szedłem pieszo zakurzonym gościńcem, z ciekawością rozglądając się po polach; nie byłem tu już od dawna.

Po lewej stronie drogi wznosił się łagodny stok wzgórza, pocięty jeszcze na długie, a wąskie pasemka zagonów. Na szczycie tego wzniesienia machał skrzydłami duży, brzuchaty wiatrak Muszyńskiego — miejscowego kułaka; w głębi widoczne były wierzchołki sosen. Po drugiej stronie, od gościńca, aż do rzeki ciągnęły się pola spółdzielcze. Gdzieś daleko, z drugiej strony wsi, którą droga przecięła na dwie nierówne części, znad stawu, słychać było donośne parskanie traktoru.

Spółdzielcy kończyli dzień pracy. Zebrali się gromadą wokół brygadzisty, prostowali obolałe plecy i przysłoniwszy oczy ręką spoglądali w stronę wiatraka, za którym chowało się słońce. Pogoda na jutro zapowiadała się nie mniej piękna niż dzisiejsza.

W pierwszej grupie żniwiarzy wracających z pola, zobaczyłem młodszego Michtę, Władkowego brata. Był to chłopiec wysoki, ze spłaszczonym nosem i szeroką, kościstą twarzą, z której patrzyły wesoło maleńkie, ciemnoniebieskie oczy. Dzięki tej twarzy nadano mu przezwisko Kałmuk, do którego od dzieciństwa przywykł tak, że właściwe nazwisko uważał niemal za obraźliwe. Śmiech budziła anegdota, którą opowiadał w Zarządzie Powiatowym Władek Michta. Głosiła ona, że przy podpisywaniu deklaracji do ZMP młodszy Michta, bardzo wzruszony wykłócał się z bratem, czy podpisać się „Michta" czy „Kałmuk". Szedł w grupie dziewcząt z byle powodu szczerzących zęby, przy każdym stąpnięciu kołysząc biodrami. W ruchach jego było coś, co upodobniało go do tańczącej dziewczyny.

Z tyłu, trzymając się w pewnym oddaleniu od młodych szła drobna kobieta. Na głowie miała barwną chustę, która co chwilę zsuwała się na czoło — poprawiała ją szybkim, bezwiednym ruchem i przyśpieszała kroku. Ale spostrzegłszy, że zbliża się do młodych, znów zostawała w tyle.

Zobaczywszy mnie, Kałmuk rozglądnął się z zakłopotaniem. Z widocznym żalem opuścił dziewczęta i podszedł, krzyknąwszy uprzednio do drobnej kobiety:

— Maciejewska, zagońcie te gęsi do wsi.

— Sam jesteś gęś — oburzyła się któraś z dziewcząt, po czym wszystkie razem roześmiały się jak na komendę.

Ku zdziwieniu Kałmuka, Maciejewska przyśpieszyła kroku i dołączyła się do dziewcząt.

— Czego się dziwisz? — spytałem, sam będąc zdziwiony.

— Ona dotychczas — wskazał Maciejewską — sama chodziła, z nikim nie gadała... Powiadali, że... zrobił kółko na czole.

Przywitał się, obejrzał swój sfatygowany rower, powiedział „stary grat, towarzyszu" i omijając moje pytanie dotyczące Maciejewskiej, z zapałem począł opowiadać o zabawie, która według jego pomysłu ma się odbyć nad stawem.

— Przyznajcie sami — natarczywie domagał się uznania dla swego pomysłu — takiego czegoś jeszcze nie było w naszym powiecie.

— Zobaczymy — uśmiechnąłem się sceptycznie — na razie trudno cokolwiek powiedzieć.

Lecz w głębi duszy byłem uradowany pomysłem Kałmuka. Przypomniałem sobie zeszłoroczny urlop, spędzony z Władkiem Michtą we wsi nad Bugiem, gdzie zakonspirowaliśmy się w obawie nagłego „odwołania z powodu nawału pracy". Wieczorami chodziliśmy nad rzekę, zarzucaliśmy wędki i godzinami ślęczeliśmy w nadbrzeżnych zaroślach. Po drugiej stronie rzeki, na brzegu wysokim i obficie zadrzewionym rozłożyła się spora ukraińska wieś. O zmierzchu młodzi skupiali się wokół harmonisty, szli przez wieś gromadą i śpiewali. Przychodzili na brzeg, na wydeptanej polanie rozpalali ognisko, sadowili się dookoła... Nieraz do późnej nocy w świetle ogniska migały sylwetki tańczących, to znów po wodzie płynęły pieśni powolne i zadumane, miękkie i rzewne, docierające do głębi serca i poruszające wszystkie struny dobrych, ludzkich uczuć... Nawet pogranicznik z automatem przystawał na chwilę w kręgu czerwonego świa-

tła pośpiewał, pośpiewał i znów odchodził pełnić swoją służbę.

Po północy wracaliśmy do wsi, spierając się szeptem, komu tym razem winien przypaść w udziale jedyny złowiony kiełbik, czy okoń...

Tego Kałmukowi nie powiedziałem. Gdy zdziwił się mojemu milczeniu, uśmiechnąłem się:

— Ukraińscy komsomolcy dawno już wpadli na twój pomysł. Ale to — dodałem po chwili — w niczym nie umniejsza wartości pomysłu towarzysza Kałmuka.

— Skąd wiecie?! — spytał rozczarowany, mimo mego pocieszenia.

— Widziałem na własne oczy — odparłem.

— Aaa — mruknął i było to podobne do jęku.

— Nie martw się, Kałmuk, mogę cię zapewnić, że w naszym powiecie ty pierwszy wpadłeś na ten pomysł. Ale przyznaj się — przytrzymałem go za ramię — Władkowi ukradłeś.

Obraził się, więc szliśmy w milczeniu. We wsi już, skręcając ku domowi, mruknął coś w rodzaju „cześć" i chciał odejść. Spytałem:

— Wojnę mi wydajesz, Kałmuk?

Roześmiał się, wrócił i podał mi rękę.

Maciejewskiej nie zastałem w domu. Stacho siedział na sfatygowanej kanapce, z której wyłaziło włosie — i stroił mandolinę. Zdążył już przebrać się w zetempowską koszulę i zawiązać krawat, teraz czekał na matkę, która poszła coś tam załatwić u przewodniczącego spółdzielni. Gdy wszedłem, odwrócił się.

— Dobry wieczór — rzekłem.

— Chyba będzie dobry — odparł, zrobił mi miejsce na kanapce, abym mógł usiąść i poprosił, żeby mu nie przeszkadzać w strojeniu. Milczałem przez chwilę, ale nie wytrzymałem.

— Przestań, porozmawiaj z gościem.

— A ty, coś za gość niby — odparł, ale mandolinę odłożył na bok. Nie często u nas bywasz, dlatego wydaje ci się, żeś niby gość. Głodny?

— Zjadłbym coś — odpowiedziałem i przypomniałem sobie, że nie jadłem obiadu.

— Poczekaj, matka niezadługo wróci. Ja też jeszcze nie jadłem.

— Do roboty wychodzi od dawna? — spytałem, aby zacząć rozmowę o Maciejewskiej. Stacho nie od razu zrozumiał.

— Niby kto? O kogo pytasz?

— O twoją matkę — odparłem.

— Już od tygodnia.

— Co się z nią działo? — pytałem. — Słyszałem, że przez trzy miesiące, od czasu gdy wstąpiła do spółdzielni, nie przepracowała ani jednego dnia. Powiadali, że **zachorowała na własność.** Nie bardzo chciałem w to wierzyć. Wprawdzie wdowy Maciejewskiej nie znam, ale znam aktywistę, niejakiego Stacha Maciejewskiego, No i, nie mogłem uwierzyć.

Stacho odczuł to widocznie, jako naganę pod jego adresem.

— Matka aktywisty to chyba też człowiek? Wolno mu przeżywać, nie?

Zmierzchało na dobre. Słychać było porykiwanie bydła, znad stawu dochodził coraz głośniejszy żabi koncert, przez który z trudnością przedzierały się inne odgłosy wiejskiego wieczoru: poskrzypywanie żórawi, klekot wozu zaciąganego na gumno i głośne rozmowy.

— To długa historia — ciągnął po chwili namysłu. — Nie zdążę ci opowiedzieć, zanim matka przyjdzie.

— Później dokończysz.

— Dobrze — odparł. — Co z tego, że mnie uważają za aktywistę. Ja rozumiem, wiem: bez tego nie można żyć dalej. Świat idzie naprzód, musi iść, żeby nie zbutwieć, żeby człowiek był człowiekiem, a nie niewolnikiem, jak dotąd. Ja o tym wiem i dziękuję ludziom, od których dowiedziałem się o tym.

— Ty wiesz o tym. A matka? — Przerwałem mu, w obawie, że zacznie wygłaszać referat.

(Dokończenie na str. 7)

LESZEK MOCZULSKI

ROK W KTÓRYM NADESZŁA WOLNOŚĆ

JEST w znanym filmie radzieckim „Trzeci szturm" taka scena: u dowódcy okupującej Krym 17 armii niemieckiej, generała Jänecke, bawi grupa wyższych wojskowych i „goście" z Turcji. Całe towarzystwo spędza czas na zabawie. W pewnej chwili otwierają się drzwi i wpada jakiś oficer. Szepcze coś generałowi do ucha. Ten prostuje się przerażony...

Wieść, która poraziła zebranych — komunikat o nowej ofensywie radzieckiej, słynnym pierwszym ciosie stalinowskim — była dla nich tym straszniejsza, że... oczekiwana. Spodziewali się jej tak, jak ciężko chory czeka na nowy atak, nie wiedząc kiedy nastąpi i w czym się objawi.

Niemcy hitlerowskie były na początku roku czterdziestego czwartego w sytuacji takiego właśnie chorego. Wojna na wschodzie trwała już trzeci rok. Przeszły do historii milowe słupy Moskwy, Stalingradu i Kurska. Przestały istnieć najlepsze, kadrowe dywizje Wehrmachtu. Pozostawała im tylko obrona, nadzieja na skonstruowanie nowej broni i na... możliwość dogadania się z zachodnimi aliantami.

Mimo klęsk i dotkliwych strat armia hitlerowska była jeszcze nadal potężna. „Festung Europa" broniło 10 milionów żołnierzy, tworzących ponad 300 dywizji. 257 z nich obsadziło front wschodni, ciągnący się długą linią od Morza Lodowatego, przez Karelię, obok Leningradu i dalej na południe — do wybrzeży Mórz Czarnego i Azowskiego.

Tak wyglądała sytuacja gdy wojska radzieckie w połowie stycznia przerwały faszystowskie linie obronne na południe od Leningradu.

Armia radziecka przygotowywała się do ofensywy 1944 r, bardzo starannie. Stało przed nią wielkie zadanie: w ciągu roku wypędzić wroga całkowicie z ojczystego kraju, zniszczyć jego armię, wkroczyć w granice hitlerowskiej III Rzeszy.

Aby zrealizować te plany radzieckie naczelne dowództwo musiało opracować wiele ważnych operacji, i to w sposób nowy, oryginalny. Trzeba było zaskoczyć przeciwnika, bić go tam gdzie nie jest na to przygotowany, zmuszać hitlerowski sztab generalny do ciągłego przerzucania odwodów na coraz to nowe kierunki — i to przerzucania spóźnionego.

Wojska radzieckie wykonały te zadania z podziwu godnym mistrzostwem.

Już pierwszy cios zadany wrogowi pod Leningradem zaskoczył faszystowskie dowództwo. Spodziewało się ono ofensywy na południu, na Ukrainie. Tam skoncentrowano dwie trzecie wszystkich niemieckich jednostek pancernych, rozmieszczono większość odwodów.

Tymczasem huk dział rozerwał powietrze na północy...

Ledwie rozgromione wojska hitlerowskiej grupy armii „Północ" schroniły się do republik nadbałtyckich, za zasłonę jeziora Pejpus, gdy drugi cios radziecki spadł na Ukrainę. Nim Niemcy zdołali się opamiętać, stracili 10 dywizji w kotle pod Korsuniem Szewczenkowskim. Tuż za ich plecami wojska marszałka Żukowa, wykonały po zdobyciu Kowla potężny raid na tyłach hitlerowców, docierając aż do Czerniowiec i przecinając faszystom drogi odwrotu z Ukrainy. Armie dowodzone przez Mannsteina zostały zupełnie rozgromione. Straciły one nie tylko 3 tysiące czołgów, ale i... samochód swego dowódcy.

Już dwa pierwsze uderzenia były przekonywającym dowodem mistrzostwa armii radzieckiej i stalinowskiej sztuki wojennej. Nastąpiły one w miejscach i czasie zupełnie niespodziewanym przez hitlerowców. Rozwijały się płynnie, w bardzo szybkim tempie. Nim sztaby hitlerowskie połapały się w zamiarach radzieckich, zdecydowały na przerzucenie odwodów — było już na to za późno.

Warto zwrócić uwagę na wielkie obszary, na których rozgrywały się boje. Pierwszy cios wyzwolił tereny od Bałtyku do Dźwiny i od rzeki Ławać do jeziora Pejpus. Drugie uderzenie uwolniło od wroga prawobrzeżną Ukrainę i część Mołdawii. A przecież nie były to operacje o największym zasięgu. O wiele potężniejszy był piąty cios, który zniszczył całkowicie centralną grupę faszystowskich armii.

I tu możemy podziwiać wirtuozerię radzieckich dowódców, wysoki kunszt bojowy Czerwonej Armii likwidującej potężne — największe na całym froncie ugrupowanie hitlerowców.

Armia radziecka zaczyna od otoczenia dwóch skrzydeł faszystowskich. Pod Bobrujskiem i Witebskiem ginie 10 niemieckich dywizji. Równocześnie główne siły wroga związane są potężnym, czołowym natarciem. Hitlerowcy nie mogą przerzucać wojsk z jednego odcinka na drugi. Rezygnują więc z otoczonych jednostek i pośpiesznym odwrotem usiłują uratować główne siły swych armii. Cofają się na Mińsk.

Radzieccy czołgiści i kawalerzyści są jednak szybsi. Stalowa obręcz zamyka się.

Strach i panikę faszystów nieźle oddaje pamiętnik oficera 31 niemieckiej dywizji piechoty. Pisze on:

„27.VI. Wszystko idzie na wspak. Ostatnie nasze siły prowadzą ciężkie walki o osłonę mostu. Wszyscy wycofują się. Maszyny przepełnione. Dzika ucieczka.

29.VI. Odchodzimy. Rosjanie chcą nas wyprzedzić. Naprężenie ponad granice wytrzymałości. Partyzanci niszczą wszystkie mosty.

30. VI. Wszędzie chaos i okropności. Most przez Berezynę pod silnym obstrzałem.

1.VII. Brak już sił. Idziemy po szosie na Mińsk. Wszędzie jakieś dzikie zatory i korkowanie. Wszystko ucieka. Panika. Obstrzały ze wszystkich stron. Ludzie i sprzęt giną.

2.VII. Rosjanie przecięli szosę. Już nikt nie przejdzie. Tego jeszcze nigdy nie widziałem. Można zwariować".

W Berlinie mówią to samo. Tak, można zwariować. Ponad pół miliona ludzi zabitych lub wziętych do niewoli. Stracone dwa i pół tysiąca czołgów, 60 tysięcy samochodów. We froncie powstała luka szeroka na 500 kilometrów. Zapełnić ją mają przerzucane pośpiesznie z Francji dywizje.

Ale wojsk radzieckich nie zadowalają odniesione sukcesy. Trzeba jak najszybciej wyzyskać odniesione zwycięstwo. Ofensywa radziecka nie tylko że nie traci na tempie, lecz wręcz odwrotnie: staje się bardziej gwałtowna. Pod koniec lipca zostaje sforsowany Bug. W tydzień później Czujkow, bohater Stalingradu, wywalcza przyczółek na Wiśle pod Warką.

W ciągu miesiąca natarcia armia radziecka przebyła 1000 km. Cały front wschodni został wstrząśnięty w posadach. Północna grupa hitlerowskich wojsk, znajdująca się w republikach nadbałtyckich, stoi przed groźbą odcięcia. Południowe armie niemieckie mają najbliższą drogę do Berlina przeciętą przez wojska radzieckie.

Tyle sprawiło jedno tylko, piąte stalinowskie uderzenie.

A przecież w 1944 roku było ich 10. Każde inne, każde zdumiewające oryginalnością i śmiałością koncepcji, każde gromiące całe armie faszystów. Oprócz tych, o których była mowa wyżej, warto wspomnieć o 3 uderzeniu, które zadecydowało o wyzwoleniu Krymu. Była to — zdaniem niemieckich i niektórych zachodnich komentatorów wojskowych — operacja trudniejsza niż inwazja anglo-amerykańska we Francji. Czwarte złamało linię Mannerheima i zmusiło do kapitulacji Finlandię. Szóste dało wolność Rzeszowszczyźnie i doprowadziło wojska radzieckie za Sandomierz. Siódme wyzwoliło Rumunię i Bułgarię, ósme republiki nadbałtyckie. W toku dziewiątego wojska radzieckie zdobyły Belgrad, Budapeszt i podeszły pod Wiedeń. Dziesiąte wreszcie zniszczyło wojska niemieckie na dalekiej północy i rozpoczęło wyzwalanie Norwegii.

Ogólny bilans tych 10 ciosów nie ma sobie równego w historii. Na tysiąc do dwóch i pół tysiąca kilometrów w głąb, wzdłuż całej, liczącej 5000 km linii frontu przeszły na zachód jednostki radzieckie.

Sukcesy armii radzieckiej miały ogromne znaczenie również dla frontu zachodniego. Rozgromienie faszystowskich sił pod Leningradem, na Ukrainie i Krymie zmusiło hitlerowski sztab generalny do przerzucenia na wschód kilkudziesięciu dywizji z Francji, co znakomicie ułatwiło aliantom przeprowadzenie inwazji na kontynent. A później, gdy zachodni sprzymierzeńcy dreptali bezskutecznie w żywopłotach Normandii, rozwiązanie przyniosła radziecka ofensywa na Białorusi. Odciągnęła ona na front wschodni dalszych 30 dywizji i prawie całe lotnictwo niemieckie.

Nic więc dziwnego, że w takiej sytuacji Amerykanie zdołali wreszcie opanować Francję. Kropkę nad i postawił gen. Barker, dowódca 8 korpusu brytyjskiego, mówiąc:

— Wyzwolenie Paryża dokonało się nad... Berezyną.

Zastanówmy się pokrótce nad źródłami tych wspaniałych zwycięstw.

Główną przyczyną zwycięstw był radziecki, socjalistyczny ustrój społeczny. Ofiarna praca, patriotyzm i prawdziwe bohaterstwo klasy robotniczej, chłopstwa i inteligencji, przyjaźń narodów radzieckich, organizująca i mobilizująca rola partii komunistycznej, wielka jedność moralno - polityczna ludzi radzieckich — w decydujący sposób za-

ważyły na przebiegu wojny. Obywatele wielkiego Kraju Rad, daleko czy blisko od Moskwy, pracowali bezustannie dla swej armii, zapewniając jej nieprzerwane dostawy na front, która broniła ich przed zbrodniczym najeźdźcą, która broniła zdobyczy całej ludzkości — socjalizmu.

Drugim decydującym czynnikiem był moralny duch armii. Żołnierze radzieccy rozumieli, że walczą nie tylko o zachowanie zdobyczy socjalizmu w swoim kraju — lecz także o wolność i swobodę innych narodów. W potrzebie nie żałowali własnego życia. Bili się w najcięższych warunkach — w mrozy i spiekoty. Pod kierownictwem Partii pokonywali największe przeszkody. Ich wola zwycięstwa nie miała równych w historii.

*

Dziesięć lat minęło. Miasta, które wtedy pokrywała trawa, narodziły się do nowego życia. Znikły z pól wraki znaczonych krzyżem czołgów, Ziemia, kiedyś pocięta pasami drutów kolczastych, skrywa dziś w sobie ziarno, siew chleba — a nie miny, siew śmierci.

To przed dziesięciu laty radzieccy czołgiści przywieźli nam wolność.

Leszek Moczulski

Obraz 16-letniej malarki ludowej Janiny Lizak ze wsi Zalipie, pow. Dąbrowa Tarnowska.

MICZYSŁAW CZAJA

DOBRZE SPEŁNIONY OBOWIĄZEK *)

NARADA przodujących w hodowli kobiet — uczestniczek konkursu hodowlanego, należy do rzędu takich, które zwykły przechodzić do historii gospodarczego i kulturalnego rozwoju kraju.

Jest to bowiem narada produkcyjna wspaniałych chłopek - patriotek, które przez swoją inicjatywę, przez systematyczną zorganizowaną pracę, uzyskały osiągnięcia, pokazujące, jakie olbrzymie siły i rezerwy tkwią w naszym narodzie i w naszej gospodarce. Powszechne uruchomienie i realizacja tych rezerw mogą walnie przyczynić się do wykonania historycznych tez IX Plenum KC PZPR.

Falę nowych zobowiązań wsi polskiej dla uczczenia II Zjazdu Partii poprzedza wspaniały dorobek konkursu hodowlanego, prowadzonego w roku 1953 przez kobiety wiejskie. Wyniki konkursu świadczą jeszcze raz o tym, jak wielkie i niespożyte możliwości gospodarczego podniesienia produkcji hodowlanej kraju tkwią w gospodarstwach chłopów pracujących — równocześnie świadczą o wielkim wkładzie, jaki wniosły chłopki swą zorganizowaną i twórczą pracą w dzieło gospodarczego umocnienia kraju.

A oto dorobek ich pionierskiej i twórczej pracy. W ramach konkursu wyhodowano 18.205 sztuk bydła, 20992 cieliczek, 1.109.335 sztuk trzody chlewnej, w tym 17.186 macior, 24.800 owiec, około 380 tys. sztuk drobiu i 82.400 sztuk królików. Cyfry te świadczą o olbrzymim wysiłku kobiet wiejskich.

Mogą i mają czym pochwalić się, mają z czego być dumne przedstawicielki kobiet wiejskich, biorących udział w naradzie. Mają z czego być dumne matki synów i córek pracujących dzisiaj w przemyśle, uczących się w szkołach wszystkich stopni, pracujących w laboratoriach naukowych, w instytucjach kulturalnych, kobiety, które niestrudzoną pracą pokazały, jak można służyć krajowi, rządzonemu przez lud, zapewniającemu kobiecie należne prawa i rolę w społeczeństwie, rolę organizatorki jego życia gospodarczego i kulturalnego.

Konkurs hodowlany 1953 roku przyniósł nie tylko zwiększoną ilość odstawionych ponad plan produktów hodowlanych, polepszających zaopatrzenie mas pracujących w niezbędne artykuły spożywcze — ale przede wszystkim przyniósł bogaty dorobek w postaci metod, przy pomocy których kobiety osiągnęły tak wspaniałe rezultaty.

...Weźmy jako przykład zeszyty konkursowe, w których kobiety opisują metody swej pracy. I tak np. ob. Karolina Warchoł z Łowczówka gminy Rożna, przez podniesienie czystości i higieny kurników, przez zaopatrzenie się w dobry materiał hodowlany kur, przez stosowanie odpowiedniego żywienia, zgodnie z najnowszymi podręcznikami — odstawiła ze swego gospodarstwa ponad 700 jaj do wylęgu, ponad 1700 jaj konsumcyjnych oraz 180 kur dwuletnich. Ponadto, biorąc udział w wystawie hodowlanej w Tarnowie, pokazała setkom gospodyń wiejskich jak należy prowadzić racjonalną hodowlę drobiu.

Podobnie ob. Zofia Chrzan z Bolesławic pow. wieluńskiego, otrzymała o wiele lepsze rezultaty w wychowie jagniąt — przez oddzielanie ich od matek i dokarmianie, zaś sposób ten zastosowała opierając się na podręcznikach, jakie dostarczono jej w ramach samokształcenia prowadzonego przez Koło Gospodyń i Upowszechnienie Wiedzy Rolniczej.

Kobiety wiejskie posiadają ogromną inicjatywę; zdobyły one sporo wiedzy w drodze samokształcenia i w praktyce hodowlanej.

Czego potrzeba, by wyniki pracy przodujących kobiet stały się potężną i rzeczywistą dźwignią gospodarki hodowlanej w kraju?

Jednym z pierwszych warunków dla osiągnięcia tego celu jest jak najszersze propagowanie ich osiągnięć. Koniecznym jest, by ich przykład dotarł do masy gospodarstw wiejskich, by masy gospodyń i chłopów przyjęły ich przykłady jako swoje, jako jedynie prowadzące do celu.

Drugim z kolei postulatem, od którego zależy rozwój hodowli, jest przyswajanie sobie coraz lepszych metod i upowszechnianie tych metod, wprowadzanie ich w masową praktykę pracujących chłopów i gospodyń wiejskich.

Dużo w tym kierunku może zrobić właśnie gospodyni. Na niej spoczywa nie tylko przełamanie niesłusznych przesądów, że za „chłopską robotę" uważa się tylko staranie o konia (a właściwie o końską robotę), lecz i pokazanie, że organizacja pracy w gospodarstwie zależy właśnie w olbrzymiej mierze od kobiety.

Liczne przykłady dowodzą, że prawdziwą organizatorką gospodarstwa jest kobieta. Mówi się o nich, że mają „złote ręce". Tak jest istotnie. Nasze kobiety i ilościowo, i jakościowo przodują w hodowli przed mężczyznami. A przodującą kobietą jest ta, która wnosi postęp i — co jest najważniejsze — nie kryje swej metody zazdrośnie dla siebie, lecz dzieli się nią ze swymi koleżankami.

Mieczysław Czaja

*) Fragmenty referatu wygłoszonego na Krajowej Naradzie przodujących hodowczyń — przez wiceministra rolnictwa prof. Mieczysława Czaję.

ROMAN KRUCZAŁA

PODSTAWA NASZYCH SUKCESÓW

Jadąc na Zjazd Kobiet — przodowniczek hodowli, czułem się mocno zażenowany swoją na nim obecnością; myślałem, że my mężczyźni nie będziemy mieli wiele na takiej naradzie do powiedzenia, nie potrafimy nawiązać serdecznego kontaktu z salą, której chcielibyśmy opowiedzieć o swoich doświadczeniach i osiągnięciach w kierowaniu gospodarką.

Wypowiedzi wielu kobiet pozwoliły mi zrozumieć, jak wiele my, mężczyźni, mamy do zrobienia, by pomóc kobietom w rozwijaniu i ulepszaniu hodowli. I nie tylko hodowli.

Często zapominaliśmy o tym, że krzywdzimy nasze matki, żony i siostry, traktując je jako bezpłatną siłę pomocniczą w gospodarstwie. Często, niestety walczyliśmy o to, by żona nie wychodziła z domu na zebrania, na zajecia świetlicowe — by tylko oporządzała inwentarz i szykowała jedzenie dla rodziny.

Gdy weszliśmy na nową drogę życia, kobiety stały się współtowarzyszkami naszej pracy, świadomymi, umiejętnie kierującymi życiem rodzin, podnoszącymi dobrobyt rodzinnych wsi.

Często jeszcze niestety można spotkać się z faktem lekceważenia kobiecej roboty. Zdarza się przecież, że gospodarz nie interesuje się tym, czym jego żona wykarmi przez zimę świnie, w jaki sposób utrzyma kury. Często jeszcze rolnik zabiera wszystek owies i siano dla konia, bo powiada — że „babska robota nic nie znaczy", że „na koniu cała gospodarka stoi". Nic więc dziwnego, że kiedy krowy wychodzą na wiosenne pastwiska, chwieją się nieraz od wiatru, bo przez całą zimę skąpo mają odpowiedniej karmy.

Cóż z tego, że kobieta przychowa cielę, troszczy się o kury i pragnie wszelkimi siłami przodować w hodowli? Wszystkie jej wysiłki rozbijają się o niezrozumienie jej zabiegów przez męża. Dlatego kobiety muszą umieć przekonać męża czy brata o konieczności zwiększenia bazy paszowej i właściwego rozplanowania wiosennych zasiewów.

Prowadzę gospodarkę wspólnie z matką i siostrą; doskonale też zdaję sobie sprawę, że połowa sukcesów w gospodarce do nich należy. Ja mogę tylko przygotować rolę, zaorać ją i zasiać, dostarczyć dostateczną ilość paszy na lato i zimę — ale właściwą hodowlę może poprowadzić tylko kobieta. Dlatego praca nasza musi być wspólna, planowa, prowadzona z ołówkiem w ręku.

Obserwując wzrastającą świadomość naszych kobiet, musimy pomóc im wypełnić jak najlepiej ich doniosłe zadania, pomóc w kierowaniu życiem naszej wsi.

Roman Kruczała
grom. Jaźwiny, pow. Dębica, woj. rzeszowskie

Mówią kobiety

KRYSTYNA NADROWSKA

LOS GROMADY W NASZYCH RĘKACH

W roku 1952 nasze Koło Gospodyń składające się z 12-tu członkiń przystąpiło do konkursu hodowlanego. Nie byłyśmy wtedy jeszcze świadome wielkości tej akcji. Kiedy mówiłyśmy o spodziewanych osiągnięciach, wróg podszeptywał, że będziemy płacić większy podatek, co znajdowało jeszcze często posłuch. Całkiem niespodziewanie, pod koniec 1952 roku otrzymałyśmy pierwszą nagrodę powiatową. Stała się ona dla nas nie byle jakim bodźcem. Rozpoczęłyśmy zebrania (może nawet zbyt często), przerabiałyśmy fachowe broszurki, radząc nad podniesieniem naszej hodowli. Zapał nasz doszedł do tego stopnia, że zaprotestowali wreszcie nasi mężowie narzekając, że są pokrzywdzeni, bo nie mają wolnej chwili, skoro kobiety ciągle na zebraniach radzą...

Toteż, kiedy przyszła niedziela — ledwo zjedli obiad, już ich nie było. Żadna ludzka siła nie mogła ich odnaleźć. Uchwaliłyśmy więc: Niech mają to święto, ale za to, co **czwartek** — zebranie kobiet i nasi mężowie muszą wtedy siedzieć z dziećmi, przygotowywać dla nich butelki i smoczki, a my spokojnie wyruszamy na zebranie. Jesteśmy już spokojne o to, że dzieciom nie dzieje się żadna krzywda, bo mężowie chętnie godzą się na taki podział zajęć — i możemy do woli dyskutować, omawiać najbardziej ważne sprawy.

W naszej świetlicy mamy radio i gazety; zbieramy się, by podzielić się spostrzeżeniami z osiągnięć hodowli, mówimy o jak najlepszym wychowywaniu naszych dzieci, o wydarzeniach w domu, a więc i o tym, jak to jeszcze od czasu do czasu mężowie sobie popiją, i jak temu najlepiej zaradzić.

Rok 1953. Za współzawodnictwo z sąsiednią gromadą otrzymałyśmy pierwszą nagrodę wojewódzką. Zwycięstwo to obudziło w nas nowy zapał. Postanowiłyśmy ująć losy gromady w swoje ręce. Potrzebna nam była w wielu naszych kłopotach fachowa pomoc. Na przykład — musiałyśmy wybudować studnię, bo mimo, że mieszkamy nad jeziorem — po wodę jeździmy do sąsiedniej gromady. Napisałyśmy list otwarty do redakcji „Głosu Olsztyńskiego", prosząc o pomoc ekipę robotniczą.

Nie minęły dwa dni, jak zajechała do naszej wsi ciężarówka z robotnikami z jednej z olsztyńskich fabryk: — „Chciałyście pomocy — więc jesteśmy". Budowali nam studnię przez dwa tygodnie.

Pamiętne pozostaną nasze wspólne rozmowy, niejednokrotnie do 12 w nocy. Wtedy to posypały się zobowiązania nie przymuszone i nie papierkowe: a więc cała gromada postanowiła dla uczczenia II Zjazdu podnieść wydajność pszenicy do 18 q z ha, owsa — do 17 q, żyta — do 16, buraka cukrowego do 280 q, a ziemniaków do 200 q z ha. Te dwa wspólnie spędzone tygodnie były dla nas najlepszą lekcją, pomogły nam zrozumieć dla kogo prowadzimy konkurs hodowlany, dla kogo podnosimy wydajność naszych gospodarstw.

Udane przedsięwzięcie, o którym wielu przecież wątpiło — podsunęło nam inną śmiałą myśl. Czyżby nie pokusić się o założenie telefonu? Kilkunastokilometrowa odległość od miasta utrudniała nam pracę. Ponieważ wywiązałyśmy się ze swych zobowiązań skupowych — to i poczta przyszła nam z pomocą i na nasz apel odpowiedziała w ciągu tygodnia, zakładając nam w okresie świąt telefon. A jakaż stąd ogromna korzyść — ot choćby w razie choroby naszych zwierząt możemy otrzymać natychmiastową pomoc weterynaryjną.

Nasze Koło Gospodyń ma teraz zapewniony respekt w całym powiecie. Złośliwi mówią, że chłopi sami weszli babom pod pantofel. Ale tak nie jest. Szacunek mamy nie tylko za to, że pracując wykonałyśmy plan dostaw zboża, że podnosimy poziom naszych pól i zagród — ale za to, że zatroszczyłyśmy się o rozrywki kulturalne na wsi, bowiem za pierwszą uzyskaną w konkursie hodowlanym nagrodę kupiłyśmy radio i adapter dla nie istniejącej jeszcze świetlicy.

Naszą troską jest obecnie jej wybudowanie, bo brak świetlicy utrudnia pracę wszystkich organizacji, rozbija zespoły amatorskie. Sięgnęłyśmy więc do naszych „rezerw" — do uzyskanych nagród i mamy już zgromadzonych około 6.500 zł. Wyrzekłyśmy się nawet nagrody w postaci maszyny do szycia, by w zamian otrzymać pieniądze lub materiał budowlany na świetlicę. Do tego dołożyłyśmy 500 złotych otrzymanych za wzorową hodowlę tuczników, 500 zł za hodowlę kur i dostarczenie przeszło 9 tys. jaj do punktów skupu. Słowem — uzbierało się sporo i już rozpoczęłyśmy budowę upragnionej świetlicy.

Krystyna Nadrowska
grom. Górowychy, pow. Iława, woj. Olsztyn

ANTONINA HANDZEL

Naprawiony błąd

Pamiętam lata przedwojenne. Ojciec — stary góral, oszczędzał na najdrobniejszej rzeczy, by wrócić na utracone „gazdostwo" zdobyć choćby najnędzniejszy kawałek ziemi. Toteż kiedy z mężem — żołnierzem I Armii przyjechałam na ziemie odzyskane, nie mogłam wprost uwierzyć, że otrzymałam piękne własne budynki i kilka hektarów ziemi. Postanowiłam wtedy, że dołożę wszystkich sił, aby z tej gospodarki wydobyć wszystko, co jest możliwe.

W pierwszych latach było mi bardzo ciężko. Gospodarstwo ucierpiało w czasie potyczek frontowych; mąż był jeszcze w wojsku... Powoli zabrałam się do gospodarzenia i teraz już od trzech lat wykonuję wszystkie plany. Nie przyszło mi to łatwo, lecz sukcesy swoje zawdzięczam tylko książkom. Pytałam się często sąsiadów: jedni radzili uczciwie, drudzy źle. Sięgnęłam więc do źródła wiedzy — nauczyłam się kupować książki i dziś mam bibliotekę, składającą się z 300 książek rolniczych.

Biorę udział w konkursie hodowlanym już od 4-ch lat. Miałam dobre wyniki. Lecz dopiero w tym roku zrozumiałam, że właściwie pracuję źle. Przyjechało do nas kilku Ślązaków. Chodzili po wsi, oglądali gospodarstwa i mówili: „Jak to jest u was we wsi, że Handzlowa osiąga tak wspaniałe rezultaty, może przekraczać plan, a wy nawet do normy nie dociągacie?" — Niejeden wtedy odpowiedział, że się nie może ze mną równać, bo mam z „nieczystymi mocami" do czynienia.

I to mi pozwoliło zrozumieć mój błąd: że robię wszystko, aby osiągnąć maksymalne wyniki lecz tylko sama dla siebie, że nie podciągam całej wsi. I wtedy powiedziałam sobie, że dotychczasowe moje postępowanie — postępowanie członka partii — było wielkim błędem. Postanowiłam więc rozpocząć wspólną pracę z Kołem Gospodyń Wiejskich, pozyskać jak największy ich udział w konkursie hodowlanym, pomóc im w uzyskaniu dobrych wyników. Ta gruntowna zmiana moich metod pracy, zakończenie błędnego oderwania się od wsi, dało dobre rezultaty. 30 kobiet z mojej wsi otrzymało odznaki wzorowych hodowczyń.

Spotykałam się często w gromadzie z faktem, że robotę kobiecą i pracę kulturalno - oświatową traktuje się, jako coś gorszego, mniej wartościowego. Prowadzę poza Kołem Gospodyń świetlicę. Kieruję amatorskimi zespołami pieśni i tańca. Pracuję z młodzieżowym kółkiem dramatycznym. Podczas pracy zebrałam wiele dowodów na poparcie tezy, że jeżeli wieś ma podnieść swoją gospodarkę, ulepszyć hodowlę — musi koniecznie się kształcić i zdobywać jak najwięcej fachowych wiadomości.

Pamiętam tragiczne ojcowskie słowa: — „Wiesz dlaczego chłop jest biedny? Bo głupi. A dlaczego głupi — bo biedny".

Dziś możemy rozwikłać to błędne koło, lecz jeżeli nie podniesiemy wsi kulturalnie — nie potrafimy skutecznie polepszyć naszych plonów. Przebudować człowieka, jego sposób myślenia jest bardzo trudno; zadanie to staje przede wszystkim przed kobietami. Nie będzie zasługiwała na miano przodowniczki, jeśli nie potrafi spopularyzować swoich osiągnięć, jeżeli nie będzie rozszerzać wiedzy rolniczej w całej gromadzie — jeżeli nie zdobędzie swoich koleżanek dla świetlicy, dla zespołów artystycznych. Osobiste wybijanie się będzie bezwartościowe.

Organizujemy u nas zespoły czytelnicze. Ale jak? Wiemy, że chłopu ciężko jest przyjść po książkę, a jeszcze ciężej ją wybrać. Przychodzimy więc na zebrania gromadzkie razem z młodymi ZMP-owcami, wędrujemy od chaty do chaty i poznając życie naszych sąsiadów — dostosowujemy odpowiednie książki. Jesteśmy pewni, że je przeczytają.

Jesteśmy oboje z mężem lektorami wiedzy rolniczej. Ale pomyślałam, że nie będzie dobrze, jeżeli wykłady będzie prowadził ciągle ten sam człowiek. Poprosiliśmy więc o wykłady jednego z naszych sąsiadów. Jest miczurinowcem, ale doświadczenia na swoim poletku przeprowadzał po cichu, nie dzieląc się z nikim wspaniałymi wynikami. I dopiero wtedy, kiedy zaproponowałam mu wykłady dla całej gromady, kiedy zobaczył, z jakim zainteresowaniem wszyscy go słuchali — zdradził nam tajemnicę swego poletka doświadczalnego, pokazał sposoby jego uprawy.

Mieliśmy wiele kłopotu ze świetlicą. Lokal nie wyremontowany — trudno go było ogrzać; brak światła elektrycznego utrudniał nam jakiekolwiek zajęcia. Pomyślałam wtedy: — Po cóż siedzieć w tej zimnicy, do której przecież nikt nie chciał przyjść? I urządziliśmy się inaczej. Robimy teraz zebrania świetlicowe codziennie w domu innego sąsiada. Korzyść z tego mamy podwójną: bo i świetlicę przez ten czas wyremontujemy, sprowadzimy do niej meble i będziemy mogli na wiosnę rozpocząć normalne zebrania — lecz przede wszystkim chłopu, który niejednokrotnie wstydził się przyjść do świetlicy, nie interesował się formami jej pracy, pokażemy urok i korzyści wspólnych zebrań.

Oto kilka moich wspomnień i doświadczeń zebranych na drodze prowadzącej do przełomu w mojej gromadzie.

Antonina Handzel
wieś Latawica, pow. Gniezno, woj. Poznań

Kostka Napierski prowadzi górali na zamek starosty czorsztyńskiego.

JÓZEF TOKARCZYK

Dlaczego „Zielone gałęzie"

Dyskusja ciągnęła się w nieskończoność. Radziliśmy nad tym, jaką sztukę powinniśmy wybrać, ażeby godnie uczcić zbliżającą się rocznicę dziesięciolecia Polski Ludowej. Wahaliśmy się między „Zielonymi gałęziami" Gissgesa, Jarochowskiej „Buraczanymi liśćmi" a sztuką Krapiwy „Skowronki śpiewają".

Każdy z członków zespołu przeczytał wcześniej wszystkie trzy sztuki, aby głębiej zrozumieć ich treść, temat, występujące w niej osoby. Zespół teatralny powstał niedawno przy naszym zespole Pieśni i Tańca. Ciekawe więc jak smardowniankom i smardowiakom przypadła do serca sztuka sceniczna, co o niej będą mówić, co i dlaczego wybiorą, jak będą nad nią pracować?

Jedni mówili, że powinniśmy zagrać „Buraczane liście" Jarochowskiej, a to dlatego, że autorka przedstawia w tej sztuce walkę chłopa przed wojną z wyzyskiem i obszarnikami. Większość jednak była za tym, by opracować i wystawić „Zielone gałęzie" — Gissgesa. „Zielone gałęzie" to sztuka, która porusza do głębi sprawy powstania ludu góralskiego pod wodzą Stanisława Łętowskiego.

A sprawy te żywo toczą się w umyśle młodzieży z tą walką, jaką mieszkańcy Smard i okolicznych gromad nie tak dawno prowadzili. Podczas niewoli niemieckiej chłopi tych okolic niejednokrotnie organizowali się, występując przeciw junkrom i magnaterii pruskiej.

Tak więc wybór sztuki został dokonany. Przystąpiono teraz do rzeczy najważniejszej: do obsady ról. Sprawa nie przedstawiała się tak łatwo. Każdy z chłopców pragnął być Tomkiem Walkozem, każda zaś dziewczyna widziała siebie w roli Hanki. Spór ciągnąłby się bez końca gdyby nie czyjś głos: „Kolektyw decyduje!"

Więc tak: nie chodzi o to, która rola jest najładniejsza, ale o to, kto ją najlepiej zagra. Więc trzeba się zastanowić kto do którego bohatera jest w życiu — jako człowiek — podobny. W rezultacie rolę Tomka powierzono Tadkowi. Natomiast rola Hanki przypadła w udziale Wiśce, właśnie narzeczonej Tadka naprawdę.

— Dwie role mamy obsadzone — mówi kierowniczka zespołu nauczycielka Stefania Rasłanowska. — Teraz rola Stanisława Łętowskiego. Jest to człowiek, który cieszy się wielkim autorytetem wśród górali, jest poważnym, dobrym gospodarzem, a równocześnie dobrym organizatorem. — Scharakteryzowała krótko postać Stanisława Łętowskiego. Postać tę będzie odtwarzać Edek Hajduk. Takim on jest w życiu, taki jest jego charakter.

Tak obsadzone zostały wszystkie role. Termin pierwszej próby został naznaczony za dwa dni.

✣

Był piątek godzina 18.30 gdy wszedłem do świetlicy, gruntownie poznawszy treść sztuki Jana Marii Gissgesa „Zielone gałęzie", przeczytałem także kilka prac o powstaniach chłopskich w tym okresie. W miarę moich wiadomości pragnąłem pomóc młodemu zespołowi w jego pracy, nie zapominając równocześnie o pracy w zespole Pieśni i Tańca.

Byli już wszyscy. Jeszcze tylko parę minut spędzonych wspólnie przy pianinie i już zasiadamy wokół drugiego stołu, każdy z egzemplarzem sztuki w ręku, przystępując do sceny pierwszej rozgrywającej się między Tomkiem i Hanką.

— „Coraz ładniejsza jesteś — coraz ładniejsza" — mówi do Hanki Tomek Walkos.

— Nie Tadziu — przerywa ob. Rasłonowska — to trzeba powiedzieć tak, jakbyś do niej ty mówił, a nie postać, którą odtwarzasz. Wprost od serca. Kochasz Wiśkę nie tylko w sztuce — dodaje żartem — a więc tym bardziej powinieneś powiedzieć to naturalnie. — Kierowniczka zespołu nie zapomina o tym, że reżyserowi nie wolno czytać czyjeś roli, gdyż wtenczas artysta-amator będzie go naśladował, co w gruncie rzeczy jest niesłuszne i złe. Każdy z nich powinien sam wczuć się w swoją rolę i mocno ją przeżywać nie tylko zewnętrznie ale i wewnętrznie. Tadek przyjmuje zrobioną mu uwagę i już następnym razem mówi trochę lepiej.

Korzystam z chwilowej przerwy w próbie, by naszych „artystów" zapoznać bliżej z problematyką sztuki, podsuwając im równocześnie odpowiednią lekturę — przede wszystkim zaś książki mówiące o walce chłopów z magnaterią i o powstaniu chłopskim pod wodzą Kostki Napierskiego. Wybucha wielka dyskusja. Mówimy o tym, że niektórzy nasi dziadkowie tu, w Smardach, pamiętają jeszcze opowiadania o tych powstaniach. Postanawiamy więc zgodnie, że zbierzemy te wszystkie materiały, gdyż mogą one nam dużo pomóc przy opracowywaniu naszej sztuki. Wskażą nam one również, że to co jest w „Zielonych gałęziach" nie jest bujną wyobraźnią pisarza, lecz są to wypadki prawdziwe, zapisane na kartach historii.

✣

Wieś już na dobre spała kiedy młodzież smardowska wracała ze świetlicy. Psy zbudzone wesołym gwarem poczęły ujadać w pobliskich zagrodach; w niektórych oknach zabłysło światło i niejeden ze spółdzielców wyszedł na ganek, nasłuchując gwaru, śmiechów i śpiewów powracającej ze świetlicy młodzieży. Ta zaś, jak jeszcze nigdy, była wesoła i zadowolona z próby.

Szedłem z kierowniczką świetlicy w grupie młodzieży. Przy rozstaniu się, koledzy prosili mnie, ażebym napisał o dzisiejszej próbie reportaż do „Wsi".

— Dobrze! — zgodziłem się. — Ale wy w zamian za to przyrzeknijcie, że będziecie punktualnie i regularnie uczęszczać na próby, tak, żeby do eliminacji powiatowych ze Smard przystąpiły dwa zespoły: zespół pieśni i tańca oraz zespół teatralny.

— Naturalnie! Przecież to nasze zobowiązanie na cześć II Zjazdu Partii. Więc na pewno je wykonamy — odpowiedział mi Tadek.

— Trzeba je wykonać; bo na sztukę czekają nie tylko Smardy ale i okoliczne wsie, gdzie zespół chce dawać gościnne przedstawienia.

Młodzież gromady Smardy powita II Zjazd PZPR jeszcze jednym dodatkowym zobowiązaniem: wystawieniem sztuki Jana Marii Gissges pt. „Zielone gałęzie".

Józef Tokarczyk
Smardy, pow. Kluczbork, na Opolszczyźnie

Zdobycie starościńskiego dworu. — Malowidło na szkle wykonała ludowa artystka—Helena Roj Kozłowska z Zakopanego.

* TEZY * PRZEDZJAZDOWE

Sojusz

WBREW pokutującym jeszcze gdzieniegdzie „teoryjkom" powstanie spółdzielni produkcyjnej nie oznacza kresu pracy politycznej na danej wsi. Słuszniej byłoby powiedzieć, że stanowi dopiero jej początek. Chłopi, którzy zdecydowali się wejść na nową drogę życia, nie zlikwidowali samym podpisaniem deklaracji wiekowych oporów, uprzedzeń, nawyków i dawnego sposobu myślenia. Nie zmniejszył się, lecz ustokrotnił nacisk wroga klasowego. Tym większego znaczenia nabiera pomoc wypróbowanego sojusznika — klasy robotniczej, a szczególnie tej przodującej jej części, która aktywnie uczestniczy w akcji ekip łączności.

*

Ubiegłej jesieni, w okresie wykopków, członkowie spółdzielni produkcyjnej w Grabowie skoncentrowali cały swój wysiłek na działkach przyzagrodowych. Opiekująca się tą spółdzielnią ekipa robotnicza z Zarządu Portu Gdańsk - Gdynia, nie chcąc dopuścić do zgnicia ziemniaków, przystąpiła sama do wykopków na polach spółdzielni. Spółdzielców „reprezentowała" jedynie trzyosobowa obsługa koparek.

Podobny problem stanął przed ekipą warszawskich Zakładów Wytwórczych Urządzeń Telefonicznych. W podopiecznej spółdzielni Broniewo Gumowskie, w pow. płońskim, groziło zgniciem 90 t. ziemniaków, daremnie czekających na przebranie. Spółdzielcy nie kwapili się do tej roboty. Dnie spędzali na przebieraniu i kopcowaniu ziemniaków u płacących wysokie dniówki kułaków. Również i tu robotnicy nie dopuścili do zmarnowania się majątku spółdzielni. Ale zrozumieli jednocześnie, że rola ekip nie sprowadza się do pomocy technicznej, że mają one przede wszystkim wielkie zadania polityczne, wychowawcze. Agitatorzy ZWUT rozeszli się więc po chałupach, wyjaśniając chłopom sens kułackiej polityki. Sukces był całkowity. Uratowano prawie wszystkie ziemniaki.

Dwa podobne przykłady — a jakże różne rezultaty. Towarzysze z Gdańska równie gorąco pragną zacieśniać sojusz z chłopami, co robotnicy warszawscy. Ale podczas gdy warszawiacy podnosili świadomość spółdzielców na wyższy etap, uzbrajali ich do nowych walk, ukazywali perspektywy pracy społecznej — gdańszczanie demobilizowali swych podopiecznych, uczyli oglądania się na innych, utrudniali scementowanie się spółdzielni i podniesienie świadomości członków. Jedni oddali spółdzielni rzeczywistą przysługę, drudzy — cofnęli ją w rozwoju.

Dobra i ofiarna praca ekip jest bardzo często ważnym czynnikiem sprzyjającym powstaniu spółdzielni produkcyjnej. Zdarza się jednak, że po zwycięskim zakończeniu walki o spółdzielnię ekipy poświęcają cały swój wysiłek jedynie umocnieniu samej spółdzielni, zapominając, jeśli wręcz nie machając ręką, na resztę nie przekonanej czy wyczekującej wsi. Nie ulega wątpliwości, że takie postępowanie nie tylko nie przybliża owej części wsi do gospodarki zespołowej, ale budzi gorycz i sieje zwątpienie. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że po powstaniu spółdzielni praca ekipy ze wsią indywidualną musi być jeszcze bardziej wzmożona, jeszcze bardziej różnorodna, jeszcze bardziej pomocna.

O wynikach — rzecz jasna — decyduje człowiek. Dlatego też nie można pochwalać praktykowanego czasem przenoszenia ekipy na inny teren, w chwili, gdy w danej gromadzie dopiero co powstała lub ma powstać spółdzielnia.

Zmiana miejsca i składu ekip zaprzecza zresztą w ogóle samej idei tej formy łączności. Nie można zdobywać zaufania i przyjaźni chłopów drogą rzadkich kontaktów oficjalnych. Trzeba być z nimi, dzielić ich radości i troski, nieść rzetelną i konkretną pomoc wtedy, gdy rzeczywiście jej potrzebują. Dlatego niewątpliwie słuszny jest postulat, by w skład ekip wchodziło jak najwięcej ludzi o znajomości naukowych podstaw rolnictwa. Rzucili go robotnicy Dolnośląskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Batalionów Chłopskich w Dzierżoniowie, proponując zorganizowanie w okresie zimowym szkolenia agronomicznego i zootechnicznego dla członków ekip łączności.

Robotnicy przywożą na wieś książki fachowe, wyświetlają filmy rolnicze i popularno - naukowe, wciągają wieś do intensywnego życia oświatowego i kulturalnego. Obok dotychczasowej pomocy politycznej, technicznej, lekarskiej — na czoło prac ekip wysuwa się działalność kulturalno-oświatowa. Jest to zgodne ze stanowiskiem Centralnej Rady Związków Zawodowych, która uznała ostatnio za jedno z najważniejszych zadań ekip upowszechnianie wiedzy rolniczej i ożywianie życia kulturalnego wsi.

I to jest zrozumiałe. Sojusz robotniczo - chłopski opiera się bowiem na sercach i umysłach. Na zrozumieniu i przejęciu się istotą tego, co wspólnie budujemy: państwa ludzi pracy.

Z. K.

MONIKA WARNEŃSKA

„MAZOWSZE" NA CO DZIEŃ

O Państwowym Zespole Pieśni i Tańca „Mazowsze" wie cała Polska. Jedni znają je „z widzenia", to znaczy z gościnnych występów lub z filmu. Inni — a takich jest najwięcej — znają je „ze słyszenia", czyli z „mazowszańskich" pieśni, przed kilku laty jeszcze nie znanych — dziś rozbrzmiewających w najdalszych zakątkach naszego kraju. Ale zdarza się — i to nawet dość często, że patrzymy na młodych artystów, jako na szczęśliwych „wybrańców losu" lekko i beztrosko przeżywających barwny korowód wrażeń, koncertów, występów, oklasków uznania i dalekich podróży. Czy znamy jednak „Mazowsze" bliżej, na co dzień, nie tylko z estrad koncertowych?

A poznać je warto. Żeby to uczynić — sięgnijmy na początek do jednego z „mazowszańskich" losów...

*

W odległych wspomnieniach Marysinego dzieciństwa utrwaliły się mocnym rysem Liszki — podkrakowska wieś rodzinna. Krajobraz Marysinego dzieciństwa — to stare, niskie, ciemne chaty Liszek, i pola rozległe, nieogarnione wzrokiem, szarymi bruzdami miedz przecięte — pola, nad którymi schylały się nisko grzbiety umęczonych ludzi.

Lecz coś jeszcze pozostało z owego dzieciństwa, co utrwaliło się we wspomnieniach na zawsze: matczyna twarz, przedwcześnie postarzała w kołowrocie niekończącej się nigdy biedy i krzątaniny — i matczyny śpiew. Ledwie odrósłszy od ziemi Marysia nauczyła się roboty — i pieśni. Jakoś krótsza zdawała się praca, gdy odmierzał ją rytm melodii i lżej było pasać gęsi lub za krowami chodzić, nucąc piosenki te same, które śpiewała matka. W bieg poranków i wieczorów wplotła się żałosna, niby skarga, melodia i słowa, nawracające upartym refrenem, pamiętne długo, nawet po latach:

A pan bije,
pracuj, chłopie!
Bierz na plecy
snop po snopie...

Kołowrót codziennej pracy nieraz wyrywał na usta Malaszkowej skargę:

— Robota bez końca, a co z niej będzie? Co wam damy, dzieci? Uczyć by was się zdało, żebyście na ludzi wyszli, a tu na szkoły tyle grosza potrzeba...

*

Są obrazy, które oglądane dziecinnymi oczyma, na zawsze utrwalają się w pamięci.

Po latach, kreśląc wspomnienia z dzieciństwa, Marysia napisała:

„...rodzice składali ciężko zapracowany grosz do grosza, aż wreszcie mamusi udało się uzbierać tyle pieniędzy, że na jakiś okres starszego brata można było posłać do szkoły w mieście. Poszedł, uczył się, ile miał sił, robił nadzwyczajne postępy. Wkrótce jednak wyczerpały się pieniądze, nie było czym zapłacić miesięcznej należności za naukę i utrzymanie — wydalili go. Płaczącej matce dyrektor powiedział:

— Co wy, ludzie, panami chcecie się porobić? A kto będzie pracował na roli? Niech idzie krowy paść!

I cóż mu pozostawało? Pasał krowy, nie swoje wprawdzie tylko pańskie. Ja, chociaż miałam wówczas pięć lat, rozumiałam, kto nas krzywdzi i od tej chwili nauczyłam się nienawidzieć krzywdę..."

Okupacja. Śmierć przechodzi tuż obok rodziny Malaszków, która omal nie padła ofiarą morderczej pacyfikacji urządzonej przez hitlerowców.

„Szukano partyzantów — pisze Marysia — mama bała się o starszego brata. Często widziałam, jak czytał mamie jakieś ulotki. Pamiętam ich treść: „...niedługo już tak będzie, idzie Armia Czerwona, a z nią wyzwolenie".

Dwanaście lat miała Marysia Malaszek, gdy w pewien dzień zimowy u progu roku 1945 ujrzała żołnierzy, o których mówiły potajemnie czytane ulotki, żołnierzy niosących wolność polskiej ziemi.

Płyną inne, odmienione lata.

„...Szkoły otwierano jedną po drugiej, nie pytano, czy mamy pieniądze na zapłacenie — szkoły były dla wszystkich. Rodzice moi z jednym synem zostali na wsi, czwórka nas poszła do szkoły do miasta. Kończyłam klasę szóstą, siódmą, a wreszcie dziewiątą..."

„...Dowiedziałam się, że powstaje Państwowy Zespół Pieśni i Tańca „Mazowsze". Zawsze kochałam śpiew, toteż marzyłam, żeby móc wstąpić do zaspołu. Złożyłam podanie, przyjęto mnie. Uczyłam się śpiewać i tańczyć. Ludowe piosenki, które śpiewałam, były już nie takie, jak z lat dziecinnych; była w nich radość i szczęście. Smutne piosenki należą już tylko do wspomnień o przeszłości, która się nigdy nie powtórzy..."

Taka sama droga przyprowadziła do „Mazowsza" męża Marysi, młodego tkacza z Wasilkowa w Białostockiem — Waldemara Kulfana.

*

Pracowite i niełatwe są dni „Mazowsza". W czasie gdy zespół nie koncertuje w kraju lub za granicą, chłopcy i dziewczęta mają czas wypełniony po brzegi. Rano nauka przedmiotów zawodowych: muzyki, tańca, zagadnień pracy świetlicowej, historii muzyki i folkloru. Po południu — przedmioty ogólnokształcące: język polski, historia, matematyka... A potem aż do późnych godzin wieczornych okna karolińskiego internatu błyszczą jasnymi światłami. Ciemne i jasne głowy chłopców i dziewcząt pochylają się pilnie nad książkami...

Studium zawodowe prowadzone jest dwiema drogami. Minęły już — na szczęście — czasy, w których młodzież musiała i tańczyć i śpiewać; było to niezwykle męczące. Dziś istnieje w „Mazowszu" grupa muzyczna — i baletowa. Grupa pierwsza poznaje zagadnienia harmonii, folkloru, śpiewu solowego, historii muzyki, gry na jakimś instrumencie („mazowszanie" przeważnie wybierają fortepian). Grupa baletowa kształci się teoretycznie i praktycznie w technice baletu, uczy się prowadzić świetlicowe zespoły pieśni i tańca. Niedługo zaś już, bo z nadchodzącą wiosną „Mazowsze" stanie się „samowystarczalne", rozpocznie koncertować razem z własną orkiestrą. Pracowite i pełne wysiłku są długie dni, które muszą upłynąć nim z Warszawy odjedzie w świat, w odległe strony Polski, lub za granicę pociąg — wiozący „Mazowsze" ku nowym sukcesom, rozsławiającym piękno naszej muzyki, naszego tańca i śpiewu.

*

Lecz dzień powszedni „Mazowsza" to nie tylko nauka. Dzień powszedni „Mazowsza" to także codzienne życie licznej gromady młodych. To nieuniknione w zbiorowisku młodzieży troski, kłopoty, trudności wychowawcze. W powszednim życiu „Mazowsza", często można odnaleźć stronice „Poematu pedagogicznego"...

A więc — sprawa, dziś już raczej przezwyciężona, dawniej przyczyniająca jednak niemało kłopotu wychowawcom: swoisty „zawrót głowy od sukcesów". Trudno się było temu dziwić. Kilkunastoletni chłopcy i dziewczęta z ciężkich warunków, często z niedoli sierocego losu przerzuceni zostali w inne życie: mieszkanie, pomoc naukowa, pełne wyżywienie, ubranie... I co najważniejsze — otworem stanęło przed nimi to, do czego się całą duszą rwali: muzyka, taniec, śpiew. Otwarła się naoścież przed tą utalentowaną młodzieżą droga do sztuki. Chłopcy i dziewczęta z „Mazowsza" wiedzieli, że ta droga jest piękna i ciekawa, porywająca i radosna, nie wiedzieli natomiast, lub nie umieli jeszcze zrozumieć, że jest ona trudna, że talent — nawet największy, wtedy tylko wyda plon, jeśli wsparty będzie o sumienną, rzetelną pracę. Niejednemu z chłopców i niejednej z dziewcząt zawód artysty, śpiewaka czy tancerza jawił się w wyobraźni, jako szlak łatwych, efektownych sukcesów, jako błyskotliwa kariera w stylu filmowych „gwiazd".

Nie wszyscy wreszcie młodzi z „Mazowsza" początkowo zrozumieć i ocenić mogli fakt, że wielką, niezwykłą przemianę w ich dotychczasowych losach spowodowała Polska Ludowa.

Bywało, że ten i ów z „Mazowszan", mile połechtany świadomością własnych zdolności, zamykał się w sobie i odcinał od innych murem egoizmu i lekceważenia.

Nie ma powodu przemilczać tych spraw. Stanowią one bowiem dla „Mazowsza" już etap minionych i przezwyciężonych omyłek i błędów. Dla każdego zaś zespołu artystycznego stanowić mogą cenną przestrogę.

*

Władza ludu! Lepiej, głębiej niż dotychczas pojęli te słowa właśnie tam — w Moskwie. Z perspektywy kremlowskiego pałacu, fabryki samochodów ZIS, wspaniałych teatrów, monumentalnych wieżowców bliżej i jaśniej zobaczyli młodzi z Karolina swą pracę i swą przyszłość. Zobaczyli wyraźną drogę, jaka wiodła ich od roku wyzwolenia, które nieśli Polsce ludzie radzieccy — ku dniom dzisiejszym. I za to wszystko, za wyzwolenie i swobodę, za własną młodość i za umiłowaną sztukę — pieśnią pełną uroku i barwnym tańcem dziękowali ludziom radzieckim, dziękowali Stalinowi.

I to była znowu wielka lekcja dojrzałości ideowej.

*

Wiosną ubiegłego roku „Mazowsze" znowu wyruszyło w świat. W podróż jeszcze piękniejszą, jeszcze ciekawszą i bardziej odległą, aniżeli wszystkie dotychczasowe: przez Związek Radziecki do Chin, a później do Mongolii.

Niejedno o tej podróży i o triumfach „Mazowsza" czytaliśmy w prasie. Lecz dziennikarskim sprawozdaniom i relacjom wymykało się zazwyczaj to, co stanowiło najbardziej istotną treść „chińskich dni" „Mazowsza": wspaniała lekcja internacjonalizmu, jaką było spotkanie z potężnym narodem, niedawno wyzwolonym z jarzma wielowiekowego ucisku, z niesłychanym rozmachem, z entuzjazmem budującym swoją przyszłość.

Wszędzie wychodziła „Mazowszu" naprzeciw gorąca, żywiołowa serdeczność i gościnność ludzi pierwszy raz spotykanych, w których młodzież polska znajdowała natychmiast oddanych przyjaciół. Chłopcy i dziewczęta zobaczyli piękno starej i nowej sztuki chińskiej. Widzieli nowe fabryki i zakłady przemysłowe, nowe szkoły, szpitale i placówki badawcze.

Z perspektywy szerokiego świata często widzi się jaśniej i wyraźniej najbliższe i najmilsze sercu osiągnięcia, dokonania i zdobycze.

*

Podczas letnich wakacji mazowszanie wieźli do swych rodzinnych wsi nie tylko egzotyczne podarunki, wrażenia i opowieści. Wieźli siłę przekonań i wiarę w słuszność drogi, jaką kroczy nasz narod, umocnioną i ugruntowaną w podróżach po dalekim świecie. I kiedy na spotkanie z „mazowszanami" schodziły się niejednokrotnie całe wsie, w serdecznych rozmowach z najbliższymi — na ich wątpliwości i żale odpowiadali celnymi argumentami agitatorów wielkiej i pięknej sprawy.

Jakie drogi otwierają się teraz przed wychowankami „Mazowsza"? Dokąd wyruszą przedstawiciele „najstarszych roczników", którzy wkrótce pożegnają Karolin?

Jedni z nich pójdą na studia wyższe, inni do teatrów i oper państwowych, ale na większość z nich czekają wiejskie świetlice i domy kultury. Przez pogadanki, odczyty, prace w zespołach artystycznych „mazowszanie" uczyć się będą — jak później, w samodzielnej pracy w „trudnych" zakątkach kraju rozpalać miłość do sztuki, do piękna, którą w nich zaszczepił Karolin.

Wiosną „Mazowsze" wyruszy w nową podróż — tym razem po kraju. Trasa jej prowadzić będzie przez województwo rzeszowskie, lubelskie, białostockie, olsztyńskie. Usłyszymy nowe pieśni „Mazowsza".

Piękna wiosna czeka „Mazowsze". Piękna młodość, twórcze, piękne życie czeka tych wszystkich młodych w Karolinie, którzy jak Marysia Malaszek i jej mąż, Waldemar Kulfan mogą powiedzieć o sobie: „...uczymy się i pracujemy razem, śmiało idąc w przyszłość".

Monika Warneńska

Nauczyciele piszą o swojej pracy

OSIEM LAT DOŚWIADCZEŃ

KIEDY u schyłku lata 1946 zobaczyłem lucynowską szkołę, ogarnęło mnie przerażenie. Żadnych urządzeń szkolnych nie było; okien i drzwi również. Akt szkolnych nie miał mi kto przekazać, gdyż moja poprzedniczka samowolnie opuściła szkołę.

Bez przesady byłem sam. Chłopi odwracali się ode mnie z wyraźną niechęcią. Odpowiednią opinię wyrobił mi kierownik sąsiedniej szkoły: „Przyjechał wojenny murarz wasze dzieci uczyć. Co taki umie?"

W pierwszej chwili zastanawiałem się, czy nie byłoby lepiej uciec. Zostałem nie tyle z przekonania, że dokonam we wsi przełomu, ile z poczucia obowiązku.

Ale jak wielu innych nauczycieli rzuconych na „zabite deskami" gromady, tak i mnie przekonały dzieci, że nie jestem samotny.

Wspólnymi siłami doprowadziliśmy szkołę do należytego stanu. Jeszcze w 1946 roku odważyłem się na urządzenie przedstawienia. Na naszą trzyaktową sztuczkę pt.: „Niedorajda" zeszli się chłopi z Lucynowa, Starej Olszyny i Szyszłowa.

W końcu roku, po akademii, która bardzo się podobała, chłopi sami poprosili, bym pozostał w Lucynowie. Któryś nawet dodał, że jako murarz, mógłbym poprowadzić przebudowę szkoły.

Postanowiłem zostać i kuć żelazo póki gorące.

Lucynów nie miał biblioteki; ani gromada ani szkoła. Walkę o czytelnictwo rozpocząłem starym, znanym sposobem. Chodziłem na zebrania gromadzkie, przede wszystkim zaś po chałupach i dzieliłem się wiadomościami z zakresu agrobiologii. Opowiadałem o sukcesach radzieckiego rolnictwa, gadałem z kobietami o hodowli trzody chlewnej, kur, indyków. Rezultat był taki, że chłopi sami opodatkowali się na kupno biblioteki. Pierwsze 50 książek przywiozłem osobiście do Lucynowa w 1947 roku.

Z początku chłopi nie kwapili się do czytelnictwa.

I znowu dopomogły nam dzieci — najlepszy pomost wiodący w głąb gromadzkiego życia. Żona moja — również nauczycielka — łatwo znalazła kontakt z gromadą, wtedy wciąż jeszcze bałamuconą przez podkułaczony Zarząd Gminny i księdza proboszcza. Założyła mianowicie koło PCK i LPŻ. Dzieci przeszły odpowiedni kurs i same obsługiwały punkt sanitarny PCK. Skaleczył się chłop, nogi poobcierał, zabolała go głowa lub ząb — szedł leczyć się do własnego dziecka.

Dalej wypadki potoczyły się dosyć szybko. Byli analfabeci w liczbie 118 ukończyli do r. 1950 kurs początkowego nauczania; część średniaków, członków Komitetu Rodzicielskiego, opodatkowała się dobrowolnie na rozbudowę szkoły. Za nimi ruszyła okolica.

Byli analfabeci stworzyli 2 duże zespoły czytelnicze, które z kolei stały się podstawą dla zorganizowania szkoły dla pracujących. Młodzież działała w tym czasie niestrudzenie. Zdobyliśmy I-sze miejsce w konkursie „Rolnika Polskiego" i „Przyjaciółki" za zwerbowanie 72 prenumeratorów. Gromada zaczęła na dobre rozczytywać się w prasie i literaturze.

W roku 1952 weszliśmy w nowy etap pracy nad życiem naszej wsi. Powstał młodzieżowy zespół artystyczny. Kilkudziesięciu młodych śpiewaków, niewyrobionych, często stremowanych „artystów", okazało się nie lada potęgą.

Mieliśmy określony plan oddziaływania kulturalnego i politycznego na okoliczne gromady. Dobieraliśmy taki repertuar pieśni, wierszy, krótkich scenek, by powoli wprowadzały naszych odbiorców w problematykę życia współczesnego. Staraliśmy się najpierw pokazać piękno naszej mowy i pieśni. Głośne czytanie w przerwach między występami spełniło poważną rolę; zbliżyło chłopów do literatury klasycznej i współczesnej. Między aktami sztuki „Głupi Franek" czytaliśmy Prusa. Następnie popularyzowaliśmy kulturę Kraju Rad. W roku 1953 daliśmy kilkakrotnie dla całej okolicy sztukę „Pieją koguty". Nastąpiła po niej seria gwałtownych dyskusji. Nasi sojusznicy, dawni analfabeci, małorolni i średniacy występowali jako oskarżyciele ustroju kapitalistycznego; na wielu przykładach z własnego życia pokazali sobie wzajemnie, jak już daleko odbiegliśmy od lat nędzy i wyzysku. Chłopi dopomogli nam w zradiofonizowaniu szkoły i utworzyli przy tej okazji rodzaj klubu politycznego, dyskutującego zawzięcie bieżące sprawy polityczne.

Nie ma takiej wsi, choćby na oko wyglądała na najbardziej zacofaną i zapadłą, gdzie nie istnieliby bardziej lub mniej uświadomieni nasi sojusznicy. Jest rzeczą nauczyciela odkryć te siły i uruchomić.

Uruchomienie młodzieży w pracy społecznej to nie tylko odkrycie jednej z najskuteczniejszych dróg dojścia do rodziców; to równocześnie właściwa forma walki o poziom szkoły i jej uspołecznienie.

Stanisław Wiśniewski

Niedoceniana potęga

ROLA książki w wychowaniu socjalistycznym powinna być, zwłaszcza dla nauczycieli, sprawą nie pozostawiającą najmniejszych wątpliwości.

Wysokie morale żołnierza radzieckiego w minionej wojnie i jego bezprzykładne bohaterstwo — to rezultat wychowania obywatelskiego, w którym oddziaływanie dobrej książki zajmuje najpoczesniejsze miejsce. W muzeach radzieckich można oglądać „ranione" książki; świadczą one o tym, że żołnierz nie rozstawał się z nimi nawet w czasie ataku. Szlachetny ruch timurowski zrodził się — jak wiadomo — pod wpływem książki Gajdara.

Przykłady te słyszy się niekiedy w gronie nauczycielskim. Jakże jednak wygląda praktyka? Jak dalece posługują się nauczyciele książką w walce o młodzież i szersze środowisko?

Stan oczytania wiejskich nauczycieli w literaturze pedagogicznej i pięknej, zwłaszcza współczesnej — jest alarmujący. Na licznych odprawach, konferencjach, w dyskusjach i rozmowach indywidualnych powoływano się aż do znudzenia na znajomość Kairowa i Makarenki. Ale znajomość Makarenki sprowadzała się wyłącznie do „Poematu pedagogicznego". Rzadko który nauczyciel potrafi wymienić nazwiska współczesnych pisarzy i ich utwory. Pytałem o „Piątkę z ulicy Barskiej" — książkę, która powinna być polskiemu nauczycielowi szczególnie bliska. Spośród kilkudziesięciu nauczycieli nie znał jej nikt.

Charakterystyczna rzecz: wychowawca nie sięga wcale po literaturę młodzieżową, czy dziecięcą. Jakże można bez tego oczytania wejść skutecznie w skomplikowany świat społecznych i estetycznych przeżyć młodzieży? W naszym powiecie częsty jest niestety taki typ nauczyciela, który wprost „nie może" czytać literatury młodzieżowej, gdyż nie odpowiada już ona jego kwalifikacjom naukowym. Polonista przeczyta jeszcze „Samotny biały żagiel", ale pan matematyk, czy historyk powie, że mu nie przystoi czytanie „Dzieci z Leszczynowej Górki", czy innych „cienkich" i „nienaukowych" książek.

Brzmi to być może zabawnie, sądzę jednak, że należy rozpocząć zorganizowaną akcję... upowszechnienia czytelnictwa wśród nauczycieli. Ministerstwo Oświaty i nasz związek powinny się tą akcją jak najszybciej zająć.

Powiada mi jeden z kolegów: do teatru iść? Za daleko mam do pociągu. Książkę przeczytać? Toż to nic pilnego; zresztą na przyjemności nie mam czasu. Kino do nas przyjeżdża? No tak, ale wtedy mam akurat szkolenie.

Po kilku latach będziemy z niego mieli typowego nauczyciela — „ślimaka". Dlaczego? Przede wszystkim dlatego, że nie umie on sobie zorganizować dnia pracy, przezwyciężyć częstego jeszcze wygodnictwa.

Sprawa czytelnictwa nauczycieli musi wyjść na czoło naszych związkowych zadań, zwłaszcza w sekcjach kulturalno - oświatowych. Sześć lat pracowałem w szkole wiejskiej. W tym czasie związek zdołał zorganizować jeden tylko wyjazd do opery wrocławskiej. Nie mieliśmy spotkań z pisarzami, ani jednej nauczycielskiej dyskusji nad książką, ani jednej wycieczki do Domu Kultury, przoującej biblioteki, czy szkoły. W naszym powiecie nie ma ani jednego teatru amatorskiego, a przecież w całym kraju przede wszystkim nauczyciele stoją na czele amatorskich zespołów artystycznych.

Dużo, bardzo dużo w tej dziedzinie zależy od aparatu inspekcyjnego Ministerstwa Oświaty i ZZNP. Nie wystarczy sprawdzić czy nauczyciel zna cztery cechy dialektyki, trzeba sprawdzić, czy historyk przeczytał książkę Rymkiewicza „Rycerze i ciury", a polonista — nasze nagrodzone powieści. Podczas wizytacji konieczne jest wszczynanie dyskusji na temat nowości literackich i sztuk teatralnych, podsuwanie nauczycielom z dalekich wsi nowych pozycji.

Władysław Raszko

JÓZEF PODGÓRECZNY

BIBLIOTEKA MIEJSKA A WIEŚ

Na pozór wydaje się, że biblioteki w miastach wydzielonych czy wojewódzkich nie mają możliwości współpracy z wiejskimi organizacjami masowymi, nie mogą oddziaływać na uaktywnienie wsi. Tak nie jest. Z doświadczeń Miejskiej Biblioteki w Bydgoszczy chciałbym przytoczyć kilka przykładów, w jaki sposób taka współpraca pomaga wsi w jej podnoszeniu się kulturalnym.

W większych miastach często odbywają się różne zjazdy, zebrania, narady chłopskie. Biblioteka miejska powinna porozumiewać się z organizatorami takich zgromadzeń w celu urządzania wystaw książki na sali zebrań — z eksponatami związanymi z zasadniczym referatem względnie programem zebrania.

Bibliotekarze bydgoscy obsługujący tego rodzaju wystawy zaobserwowali duże zainteresowanie uczestników zjazdów tą formą popularyzacji książki.

Warto również proponować organizatorom, by w programie obrad przeznaczyli godzinę czasu na zwiedzenie miejscowej biblioteki. Chłopi bowiem chętnie poznają większe księgozbiory.

Biblioteka Miejska w Bydgoszczy prowadzi stałą wystawę posiadanych eksponatów. Od maja do grudnia ub. roku zwiedziło ją 8.039 osób, wśród nich — sporo wycieczek chłopskich (m. in. z PGR-ow i spółdzielni produkcyjnych z powiatów brodnickiego, lipnowskiego, rypińskiego, chełmińskiego i tucholskiego). Nie brak również wycieczek chłopów indywidualnych i wycieczek z innych województw.

W myśl uchwał IX Plenum Biblioteka Miejska poszła z książką rolniczą do zakładów pracy i hoteli robotniczych — wychodząc z założenia, że w większych z tych zakładów zatrudnieni są robotnicy, dojeżdżający ze wsi — mogący zatem stać się dobrymi propagatorami spraw, poznawanych w mieście.

W ubiegłym roku biblioteka stwierdziła, że na niektórych przedmieściach Bydgoszczy mieszkają chłopi nie objęci dotychczas konkursem czytelniczym. Po prostu — zapomniano o nich. Do IV etapu konkursu zgłosiło się spośród nich ponad stu uczestników.

I jeszcze jeden przykład. Dyrekcja Biblioteki Miejskiej dowiedziała się, że za kilka dni w bydgoskich halach targowych nastąpi otwarcie wystawy drobiu i zwierząt futerkowych. Propozycję biblioteki włączenia się do tej wystawy, jej organizatorzy przyjęli oczywiście z zapałem. Książki wywołały duże zainteresowanie zwiedzających. Były momenty kiedy do stoiska z książkami tworzyły się ogonki. Po niedługim czasie obsługujący je kolporter przyjmował już tylko zamówienia, bo książki zostały w całości rozprzedane.

Przykłady z Bydgoszczy pokazują, że są możliwości bardzo skutecznej współpracy bibliotek wielkomiejskich ze wsią.

Józef Podgóreczny

FRANCISZEK ŚNIEG

DLACZEGO JEST ŹLE Z CZYTELNICTWEM W NASZYCH PGR-ach?

PRACUJĘ w PGR-ach zespołu Ostrowiec od 1945 roku. Stale też obserwuję od czego jest zależne, żeby ziemia dawała coraz większe plony zbóż i okopowych, aby podnosiła się hodowla bydła i innego inwentarza. I widzę, że wszystko zależne jest od człowieka pracy, rolnika-hodowcy. Widzę także zależność wyników pracy od świadomości i wiedzy człowieka. Jak robotnik wzmocni swą myśl artykułami z gazety lub dobrą książką — to praca mu lepiej idzie: bo — jak mówi przysłowie „gdy się posmaruje, to się i jedzie".

Nie wszyscy jeszcze niestety, są do tego przyzwyczajeni, a co gorsza, nie wszędzie są ludzie czujący swą odpowiedzialność za tych, którzy daleko jeszcze stoją od książki, gazety, świetlicy. W naszym zespole Ostrowiec świetlice są prawie w każdym PGR. Ale czemu i komu naprawdę służą? W większości wypadków urządzane są w nich niedzielne potańcówki i zabawy, całymi zaś tygodniami stoją puste. Książkę — jeśli kto wypożyczy — czyta w domu, bo w świetlicach nie ma kto kierować ani zespołem czytelniczym, ani całym życiem kulturalnym. Brak jest stałego kierownictwa. Dorywczo zajmowanie się sprawami kulturalnymi przez pracowników PGR nie wystarcza wobec olbrzymiej pracy, jaka jest do zrobienia.

W bibliotece i świetlicy w Ostrowcu znajduje się około 1500 książek. Nieetatowym kierownikiem tej biblioteki jest kol. Franciszek Kluszczyński. Niewiele chwil może on spędzić w bibliotece. Wpadnie do świetlicy, gdy ludzie przyjdą książki wymienić; a nie ma już czasu doradzić, jakie książki mają wybrać. A przecież czytelnicy chcieliby porady od kierownika biblioteki. Chcieliby też podzielić się między sobą uwagami na temat przeczytanych książek. Chcieliby sobie opowiedzieć, jakie korzyści one im dały.

Świetlice i biblioteki w naszych PGR-ach wołają o pomoc, o kierownictwo, o stałą opiekę. W zespołowych bibliotekach PGR winni być etatowi kierownicy bibliotek i świetlic, którzy by otaczali opieką również punkty biblioteczne w poszczególnych gospodarstwach. Gdyby w zespole Ostrowiec był taki kierownik biblioteki na etacie i miałby pod swoją opieką 10 czy 15 punktów bibliotecznych w gospodarstwach zespołu, to na pewno lepiej by się tu rozwinęło czytelnictwo. Niestety, nie zajmują się tą sprawą ani Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, ani czynniki społeczne. Słyszy się pytanie o wszystkie inne sprawy: jak się plan wykonuje, jak hodowla idzie itp. Nie słyszy się natomiast pytań: „Jak się u was przedstawia czytelnictwo? Jaka jest u was biblioteka?"

Ileż świetlic w naszych PGR-ach i gromadach w gminie Lejkowo jest bez okien, bez drzwi, bez troskliwego nadzoru? Nikt się o nie nie troszczy.

Oddział Kultury przy Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Sławnie powinien pomóc naszym gromadom i PGR-om w doprowadzeniu świetlic do porządku. Kierownictwa poszczególnych PGR-ów też mogą i powinny przyłożyć się do tego. A potem wspólnie należy zająć się: żeby świetlica przestała być tylko miejscem zebrań czy zabaw; żeby świetlice w PGR-ach stały się ośrodkiem krzewienia kultury i wiedzy.

Stałe kierownictwo świetlic i bibliotek w zespołach PGR-ów i ich opieka nad życiem kulturalnym w gospodarstwach zespołu posunie z pewnością sprawę naprzód.

Franciszek Śnieg
PGR Smardzewo

PRZEMYSŁAW BYSTRZYCKI

W POWIECIE KONIŃSKIM

Drogami nie zbyt często posuwa się kolumna „Artosu"; TWP nie ściąga ludzi po pracy na wykłady „O pochodzeniu człowieka" lub „Jak powstała ziemia".

— Czy był kiedy u was literat poznański z odczytem lub wieczorem autorskim? — pytam na wszelki wypadek, bo i tak wiem, że nie było nikogo. Ale wiem ciągle jeszcze stanowczo za mało.

„Najtrudniej zbadać przyczyny"... Ta stara prawda reporterska w tym wypadku aż się rzuca w oczy. Gdzie leżą owe chorobotwórcze bakcyle zastoju? Co sprawia, że na coraz bogatszej mapie kulturalnej naszego województwa powiat koniński straszy wstydliwą białą plamą?

Przeciągamy wizytę w konińskiej PRN dobrze ponad czas wyznaczony. W odpowiedziach Tadeusza Banaszaka — kierownika Oddziału Kultury PRN i Rocha Wróbla — kierownika Referatu Bibliotek, rysuje się coraz pełniejszy obraz terenu.

Świetlice, 4-ch etatowych pracowników i 72 miejsca kulturalno-społecznego życia młodzieży w granicach powiatu — to liczba teoretyczna, figurująca w sprawozdaniach. Praktycznie żywotność wielu stoi pod niepokojącym znakiem zapytania. Z owej liczby 72 pracuje 16 (5 gminnych i 11 gromadzkich); reszta żyje trochę na dziko, zdana na inicjatywę i humory GRN-ów. Weźmy np. świetlicę w Ostrowicie. Gminna Rada Narodowa traktuje tam sprawy kultury lekką ręką, tzn. po prostu zapomina o nich lub nie dostrzega ich zupełnie. Stąd świetlica uległa samolikwidacji. „Na pewien czas" zawiesiła działalność — i kropka. Zespół, jeśli był jakiś, rozprzęgł się; teraz nowy świetlicowy ma pełne ręce roboty.

Mówi tow. Banaszak:

— Mamy kłopoty z funduszami. Źle jest, jeśli w GRN Stare Miasto utonęły w budżecie pieniądze przeznaczone na sprawę świetlicy. Jest również bardzo niedobrze gdy na kontrolne podróże w teren, bądź co bądź jednego z największych powiatów naszego województwa, możemy wykroić tylko 2 000 zł. Instrukcja Wojewódzkiego Wydziału Kultury wskazuje wyraźnie: 2—3 razy na tydzień odwiedzać teren. Na cel ten 5.000 zł. w skali rocznej nie byłoby za wiele.

Gdy przechodzimy do bibliotek, od razu powstaje problem: lokale w gminach Sławoszewo, Gosławice, częściowo również w gminach Miłodojewo i w Grodziec; wyraźnie brak dobrej woli Prezydium GRN w dostarczaniu pomieszczeń.

Książki przychodzą z Wojewódzkiej Biblioteki w Poznaniu w dużych ilościach. Tytułów różnorodność wielka, byle tylko — jak twierdzą moi rozmówcy — większa była dbałość o tytuły wymienione wykazem konkursu czytelniczego... — 7.102 czytelników w IV etapie w skali powiatu — to liczba spora.

„Artos" i kino. W krótkim reportażu nie sposób zamknąć całości zagadnienia. Dlatego nie będę mówił o doborze repertuaru. Ale powiem, że dziwna jest w konińskim „polityka terenowa" tych instytucji. Do powiatu i po miasteczkach — owszem — jeździ się; natomiast do wschodnich rubieży konińskiego zajeżdżają te instytucje niechętnie, tłumacząc się brakiem odpowiednich pomieszczeń.

Można się zgodzić, że remiza ochotniczej straży pożarnej nie zastąpi świetlicy, ale czy towarzysze z „Artosu" i Wojewódzkiego Zarządu Kin zawsze robią wszystko, na co ich stać, aby żywe słowo ze sceny lub ekranu przemówiło z najbardziej odległych zakątków powiatu?

A poziom wystąpień? Białe plamy kulturalne konińskiego i choćby sureckiego straszą, jakby tam było królestwo lwów. To znaczy: czym prędzej odwalić program — i na autobus! Są miejscowości, gdzie jeszcze nigdy towarzysze z tych placówek nie stanęli. Tymczasem ludzie tam czekają.

Znaczna odległość powiatu kaliskiego od poznańskiego centrum stwarza pewne trudności we wciągnięciu tego terenu w orbitę wpływów kulturalnych wojewódzkiego miasta.

Trzeba stwierdzić: za mało uwagi, za mało opieki, za mało pieczołowitości. Z czyjej strony?

Kto jest odpowiedzialny za obecny stan niedorozwoju kulturalnego powiatu? Czy Wydział Kultury WRN w Poznaniu robi to, na co stać tę instytucję, aby pomóc powiatowi? Jak walczy PRN w Koninie o dodatkowe kredyty? Jak wyjaśnia „Artosowi" i Wojewódzkiemu Zarządowi Kin konieczność częstych odwiedzin miejsc najbardziej pod tym względem upośledzonych? Ile razy, przy pomocy jakich argumentów i w jakiej formie zwraca uwagę województwa na palącą potrzebę kierowania tam do pracy wykwalifikowanych świetlicowych, budowy świetlic lub domów kultury? Czy „Artos" i czy Wojewódzki Zarząd Kin żyją sprawami terenu? Czy wsłuchują się w głos idący od gromad i wsi? Czy urządzają ankiety i badają oceny repertuaru, sposobu wystawiania, czasu i formy zapowiedzi widowisk?

Szczegółowa odpowiedź na te pytania nie może być dana poza ramami samokrytyki...

Przemysław Bystrzycki

MICHAŁ WARDĘGA

GRN w Rybnie w trosce o kulturę...

RYBNO (w powiecie Mrągowo) ma dość zasobną gminną bibliotekę i stałe kino.

— Zachorowała bibliotekarka; leży w szpitalu. Biblioteka od kilku dni jest zamknięta Czytelnicy się dopytują, kiedy zdołają zmienić książki.

— Nie pali się — odpowiadano pytającym w prezydium. — Zaczekają .

— Jak długo?

— Póki kierowniczka nie wyzdrowieje.

— Choroba bibliotekarki może się przedłużyć; nastąpiły podobno jakieś komplikacje...

— Nie będzie przecież wydawała książek Rada!— Kiedyś ludzie wcale nie czytali i Rybno istniało. Nie przestanie istnieć i teraz...

Minęły tygodnie Ludzie ciągnęli do biblioteki jak do GS-u po nowym transporcie wiader. Nie mogąc się do niej dostać, zbaczali do szynku. Spotykając tam niektórych członków prezydium, zapytywali:

— Dlaczego nie otwieracie biblioteki?

— Bo bibliotekarka chora.

— Wyznaczcie więc kogoś na zastępstwo!

— Nie mamy kogo.

— Przesada! Przez kilka godzin w tygodniu mógłby „pourzędować" za nią każdy z radnych...

— Niemożliwe! Obowiązki nie pozwalają Wielkie zadania stoją przed Radą. Gmina duża. Problemy złożone. Troski po prostu głowę bielą!..

Szynk skupiał mieszkańców Rybna coraz tłumniej. Przeprowadzane przy kieliszkach dyskusje stawały się coraz żywsze. Ostatnio nierzadko kończyły się bójkami.

Zaniepokojone tym kobiety poczęły domagać się uruchomienia kina. „Skoro młodzież nie może wymieniać książek, niech chodzi na najnowsze filmy" — mówiły między sobą.

Zgłosiwszy się do GRN, pytały przewodniczącego:

— Kiedy wreszcie wznowicie pracę kina?

— Kiedy skończymy remont lokalu?

— Remont trwa przecież od listopada, a wcale nie widać, by zbliżał się ku końcowi...

— Mamy na głowach ważniejsze sprawy Gmina duża. Problemy złożone. Głowy nam od trosk puchną!

— Więc kiedyż wreszcie kino zostanie uruchomione?

— Czas pokaże

*

Może by tak ktoś spojrzał na te sprawy ze szczebla powiatu? I wytłumaczył członkom prezydium GRN, że biblioteka i kino istnieją w Rybnie nie dla pokazu, lecz dla stałego obsługiwania publiczności.

Podobne pouczenia są prezydium bardzo potrzebne Chociażby dla przypomnienia mu starego przysłowia — o tabakierze dla nosa..

Michał Wardęga

TEOFIL KOWALCZYK

KLĘSKA MŁYNARZA

BYŁ chorążym w przedwrześniowej armii polskiej. Gdzieś tam na Wołyniu posiadał parcelę osadniczą. Pracowała na niej najemna ukraińska biedota. Pan chorąży pełnił służbę w pułku. Należał do tych „pionierów" polskości, którzy „szczepili zachodnią cywilizację", wtykając w ręce najemnika pług, a we własnej dzierżąc szabelkę.

Okres okupacji przeżył całkiem znośnie. Zwycięstwo nad hitleryzmem otwarło bramę na zachód. Mikołaj Sawczuk ruszył razem z innymi. Jakiś czas był urzędnikiem i inspektorem młynarstwa w województwie wrocławskim. Zwąchał tu dobry interes. Nie polował na duże przedsiębiorstwo. Wybrał mały młyn o napędzie elektrycznym z domkiem i ogrodem oraz półtora ha ziemi. Zdawał sobie sprawę, że w okresie walki klasowej łatwiej będzie przeżyć małemu szczupaczkowi niż potężnemu rekinowi.

Tak osiedlił się w Muchoborze Wielkim, tak został wiejskim młynarzem.

Młynarz na wsi jest synonimem bogacza i krzywdziciela. Żaden chłop nie powie o młynarzu nic dobrego, chociaż musi się z nim liczyć i nieraz o jego łaskę zabiegać. Sawczuk, będąc urzędnikiem wojewódzkim, poznał metody walki politycznej i gospodarczej z kułactwem i drobnymi wyzyskiwaczami. Zrozumiał, że nie można włazić ordynarnie nogami w teren tak dziś czuły, jak wieś. Należało w nowych warunkach przybrać pozę przyjaciela, legalisty, człowieka, który niczego więcej nie pragnie i nie żąda, jak tylko „móc żyć", mieć „mały domek i tych parę złotych z małego młyna".

Postarał się o tytuł własności na dom, młyn i działkę rolniczą. Początkowo zarabiał nieźle, zatrudniał siły najemne. Złotówki z chłopskich kieszeni wpływały systematycznie do portfelu młynarza.

Powstawały spółdzielnie. Jasne, że nie przywoziły zboża do prywatnego młynarza. Zawierały umowy z P.Z.Z-etami i młynami spółdzielczymi. Poczęli korzystać z tego i członkowie spółdzielni: mielą tam zboże i dla siebie. Młynarz tracił złotą żyłę.

Zaczął zwierzać się do przyjaciół:

— Przemiał dla chłopów przestał już być dobrym interesem. Ratuję się teraz przemiałem zboża dla Pegeerów i śruty dla furmanów.

Trwało to jednak bardzo krótko. W zeszłym roku wydano zarządzenie, że PGR mają obowiązek całą produkcję zbożową oddać Pezetetom, a na potrzeby gospodarcze otrzymują od nich przetwory zbożowe.

— I to diabli wzięli. Furmani otrzymują dla koni w dowolnej ilości owies z magazynów państwowych. Może to położyć nawet byka, a cóż dopiero młynarza! Nie trzeba kar ani wywłaszczania. Znowu przegrałem. Pech mnie prześladuje od Wołynia do Wrocławia. Nie mogę znaleźć dla siebie miejsca.

Pociągając piwo w gronie przyjaciół, Sawczuk żalił się:

— Młyn o napędzie elektrycznym czy parowym już nie przedstawia interesu. Wiecie, co się jeszcze opłaca? Wodny klekot! Tu nikt nie potrafi skontrolować przemiału. Woda płynie i płynie, nikt jej nie wymierzy. Można wpisywać do ksiąg przemiałowych, co się komu podoba.

Potrząsnął melancholijnie głową.

— W swej młynarskiej praktyce — snuł swe myśli dalej — stwierdziłem fakt przerażający — głos jego przeszedł w szept. — O n i potrafią regulować życie. Rozumiecie? Samo życie! Co z nami będzie jeśli chłopi osiągną wyższą kulturę i świadomość? Jeśli wszyscy pójdą do spółdzielni?

*

Dobrze jest czasem spojrzeć na nasze osiągnięcia z pozycji wroga. Osiągnięcia nabierają ostrzejszych konturów.

Klęska Sawczuka — to nie tylko jego klęska. To również zmierzch kułactwa, zmierzch niedobitków starego porządku, którym państwo ludowe ogranicza tereny działalności. Nowy ustrój, który tworzy nie tylko formy bytu, ale i jego zasadniczą treść. W niej jego siła i jego zwycięstwo.

Teofil Kowalczyk

WŁASNOŚĆ

(Dokończenie ze str. 4)

— Przez dwa lata, do późnej nocy nieraz, rozmawiałem z nią: wstąp do spółdzielni. Leży w łóżku, patrzy w sufit, słucha tego co mówię i myśli. Czasem sama zacznie opowiadać o tym, jak było w czasach jej młodości. Nie było to wesołe. Ani się obejrzysz, jak w oknie pojawia się smuga brzasku, która przypomina, że pora zasnąć wreszcie, koguty poranne zapieją i, jeśli to latem — słowik obudzony zacznie wyśpiewywać. A ty czekasz. Matka opowiada, a ty czekasz, że może już dzisiaj zdecyduje się. Długo czekałem, cierpliwie. Ciężko mi było nieraz, bo Kałmuk, zresztą nie tylko Kałmuk, przy byle okazji pytali:

— Kiedy Maciejewska wstąpi do spółdzielni?

I dogadywali:

— Ej Stachu, kiepski z ciebie agitator.

Wreszcie wstąpiła. Któregoś wieczoru, było to na wiosnę, siedziałem nad stawem i grałem na mandolinie. Podeszła, usiadła przy mnie i słucha.

— Co tam, mamo? — pytam.

— Umyśliłam — powiada — do spółdzielni wstąpić. Oddam półczwarta hektara. Co, synku?

Serce we mnie drgnęło z radości. Nazajutrz poszła na zebranie spółdzielców i poprosiła o deklarację. Wzięła pióro, aby podpisać, ale w ostatniej chwili drgnęła, wyprostowała się. — Popatrzyła po obecnych i nagle rozpłakała się. Rozpacz ją ogarnęła nierozumna. Podpisywała deklarację i, żebyś ty widział, żebyś ty widział człowieku, jak ręka jej drżała, jak łzy ciurkiem biegły po twarzy, spadały na papier i rozmazywały atrament.

Kałmuk wzruszył ramionami, podszedł do mnie i mówi:

— Ty, Stachu, nie całkiem dobrze przygotowałeś matkę do spółdzielni. Czemu tak płacze?

A przecież wszystko jej wyjaśniałem; tu na tej kanapce siedzieliśmy przez całe dwie niedziele ze statutem i ołówkiem w ręce. Każde zdanie rozbieraliśmy na wszystkie możliwe sposoby, obliczaliśmy wszystko, co do grosza.

Przez cały tydzień chodziła jak struta. Popatrzysz na nią i coś chwyta za serce, kleszczami ściska. Rankiem wychodziła z chałupy. Szła do lasu, albo ślęczała nad stawem do późnego wieczoru. Brałem chleb i mleko i godzinami szukałem jej i namawiałem, żeby jadła. A ona nic, tylko milczy, a jeśli się odezwie, to powie „idź sobie, synku" i tyleś słyszał. Zaczęli już we wsi pogadywać, że Maciejewska zwariowała, ponieważ przymusili ją aby wstąpiła do kołchozu.

Gdy powiedziałem jej o tym, przestała chodzić do lasu i przesiadywać nad stawem, ale do pracy nie wychodziła nadal. Przychodził przewodniczący, tłumaczył, przyszedł Więcek nasz sekretarz, ale matka nawet słuchać nie chce.

— Krwawicę moją wam oddałam, całe moje życie, czego jeszcze chcecie?! Zostawcie mnie w spokoju! — powiada i znowu milczy całymi godzinami.

Na początku przeszłego tygodnia, jak zwykle wieczorem poszła do obory i dość długo nie wracała. Zaniepokoiłem się i poszedłem zobaczyć, co robi. Otwieram wrota i wołam:

— Mamo! Mamo, chodźcie już wreszcie do domu!

Cisza. Słychać tylko, jak Czeremcha przeżuwa... Przestraszyłem się na dobre, bo raptem przyszło mi na myśl, że popełniła samobójstwo. Zapaliłem zapałkę i w jej błysku zobaczyłem jakiś łachman leżący pod żłobem. Serce podeszło mi do gardła i nie przestało bić jak oszalałe nawet wtedy, gdy przekonałem się, że to moja stara peleryna, w której pasałem Czeremchę w deszczowe dnie. Potem poszedłem do przewodniczącego — mieszka tuż, niedaleko — i pytam:

— Matki mojej nie widzieliście?

— Widziałem — odpowiada spokojnie, a na twarzy ma wypieki ze zdenerwowania i jakoś dziwnie się uśmiecha. — Była, ale już poszła.

— Czego od was chciała?

— Ziemię przyszła odebrać. Powiada: zwróćcie, bo ja już nie mogę dłużej... Myślę sobie tak: jeśli kobieta ma zwariować, albo i zemrzeć z powodu spółdzielni, to lepiej niech zabierze.., Już i tak dość było kułackiego gadania.

Tak powiedział przewodniczący, a we mnie jakby diabeł wstąpił. Podchodzę do niego z pięściami i mówię:

— Toś ty taki sukinsyn - oportunista! Kułackiego gadania się boisz! Niedługo, a całą spółdzielnię rozpędzisz na cztery wiatry, dlatego.

— że kułakom się nie podoba...

— Niepotrzebnie się denerwujesz, synku — odpowiada równie spokojnie jak przedtem — idź do domu i matkę jeszcze poagituj. To nie jest prosta sprawa, trzeba spokoju.

Zmitygowałem się i, wdzięczny za to, że potraktował mnie tak wyrozumiale, poszedłem do domu. Wchodzę a matka stoi oparta o komin, ręce na piersi złożyła i uśmiecha się tak, jakby spotkało ją największe szczęście.

— Po dawnemu będziemy żyć, synku. Niech będzie gorzej, byle po dawnemu, na własnym. Byłam u przewodniczącego i prosiłam, żeby zwrócili ziemię. Zgodził się, jutro klacz z powrotem sprowadzimy do stajni. Z uprzężą synku, z uprzężą...

Nie odezwałem się. Zdjąłem mandolinę z wieszaka i zacząłem grać byle co, aby tylko zagłuszyć samego siebie. Było mi żal matki, a równocześnie wzbierał we mnie gniew na jej głupotę. Nie umiałem już wyobrazić sobie innego życia, jak to, które rozpoczęliśmy tej wiosny. Gdy pomyślałem o tym, że znowu przyjdzie się kłaniać przed Muszyńskim, gorycz jakaś owładnęła mną i paliła w sercu, w gardle — wszędzie. Matka usiadła przy mnie i pogłaskała po głowie.

— Ja już nie mogłam, synku — powiedziała. — Zdawało mi się, że nikomu i niczemu nie jestem na świecie potrzebna, nie wiedziałam do czego się zabrać... Nie gniewaj się na matkę. Bez swego to tak, jakby człowiek grunt pod nogami stracił, jakby w powietrzu zawisł bez skrzydeł. Zdaje się, że runie lada chwila. Niby wszystko wiem, tłumaczyłeś, a przecież w cudze ręce zawierzyć swój los, to tak jakbyś własnym rękom zabrał siłę.

— Ludziom nie chcesz wierzyć, matko, nawet własnemu synowi nie chcesz wierzyć, swojemu rozumowi nie wierzysz również. Wierzysz sercu, a serce nieraz jest takie głupie, takie głupie! Ale ty przecież i serca nie masz dla tego wszystkiego, co nazywasz dawnym życiem. Przecież i tobie, prócz ustawicznego zginania karku przed cudzą wolą, prócz krzywdy, na którą nieraz płakałaś gorzkimi łzami, nic to życie nie przyniosło. Powiem ci, matko tylko tyle: jeżeli zechcesz wszystko oddadzą: i tę starą, nieledwie dychawiczną już klacz, i te hektary. Ale ty wybieraj: własność, albo ja, twój syn. Nie ma dla mnie innego życia, prócz nowego...

— Synku... — załkała — matką ci jestem...

Ciągnąłem dalej:

— Dość mam odrobku u różnych Kaliszów i Muszyńskich, dosyć pożyczania zboża na przednówku, dosyć kłaniania się w pas pasibrzuchom i sukinsynom. Ja już matko, nie potrafię karku ugiąć, gdym zasmakował nowego życia. I nie chcę, żebyś ty, moja matka, zginała kark przed Muszyńskim. Ale jeśli chcesz żyć po staremu, to żyj, ale beze mnie. Nie będę mógł patrzyć na twoje życie i upokorzenia, ludziom w oczy nie będę mógł spojrzeć. Pójdę w świat i tyle mnie zobaczysz. Roboty dzisiaj jest dosyć, dla mnie też wystarczy. Wybieraj, mamo: własność — albo ja, twój syn.

Stacho Maciejewski umilkł i patrzył w kąt izby, abym nie mógł dostrzec łez w jego oczach. Słuchałem jego opowieści z podziwem i szacunkiem. Był dobrym synem — wiedziałem o tym. Nie łatwo mu było zdobyć się na wypowiedzenie takich słów do matki. Ale chyba dlatego właśnie, że wypowiedział je, w moich oczach, urósł, był lepszy, szlachetniejszy niż dotychczas.

— Co było dalej? — spytałem cicho.

Przez chwilę milczał, aby nie zdradzić swego wzruszenia i uspokoić się. Potem dokończył:

— Jedynakiem jestem; gdybym odszedł, zostałaby sama. Ojciec zginął w trzydziestym dziewiątym. W ogień poszłaby za mną. Wybrała mnie. W dwa dni później poszła do przewodniczącego i poprosiła, aby przydzielił ją do brygady.

Wstał, zapalił lampę i powrócił do strojenia mandoliny.

— Coś za długo nie przychodzi — rzekłem i wyszedłem przed dom, bowiem zdawało mi się, że słyszę śpiew i dźwięki harmonii. Nasłuchiwałem z uwagą, ale harmonia najwidoczniej umilkła. Chciałem pomyśleć o Maciejewskiej i jej synu.

Wieczór był bezwietrzny i spokojny. Bezchmurne, granatowe niebo mieniło się tysiącami gwiazd; rozpaliła się na mgnienie wąziutka smuga spadającego okruchu gwiazdy i zgasła nad wysokim szańcem przydrożnych klonów, ponad którymi jednym tylko rąbkiem unosił się sierp młodziutkiego księżyca. Tuż za maleńką obórką pobłyskiwało czarne lustro stawu, w dno którego wbił się ostry klin żółtego światła. Szedł stamtąd mocny, przyjemny zapach kaczeńców i rechot żab. Usiłowałem przypomnieć sobie, gdzie już widziałem taki, albo zupełnie podobny temu krajobraz, gdy ujrzałem grupę ludzi na drodze. Od grupy odłączył się jeden człowiek i szurgając butami po żwirze szedł ku domowi Maciejewskich. Po dużej, kołyszącej się jak w tańcu sylwetce poznałem Kałmuka. Harmonia zawieszona na ramionach odzywała się przy każdym niemal kroku cieniutkim dźwiękiem. Ujrzawszy go, wszedłem do izby. Chwilę później wszedł i on. Stanął w progu, szeroko otworzywszy drzwi i krzyknął pół żartem, pół serio:

— Bumelanty! Zapowietrzone bumelanty!

— Nie drzyj się, Kałmuk — odciął Stacho.

— Jak się mam nie drzeć, kiedy tam wszyscy na was czekają.

— A ja na matkę czekam. Jak matka przyjdzie, wtedy pójdę.

Kałmuk zaśmiał się wesoło, jakby usłyszał dobry żart.

— A twoja matka myślisz, taka jak ty? — chichotał. — Ona tam z młodymi czeka na ciebie. Sama powiedziała, żebym ciebie poszedł zawołać.

— Łżesz! — krzyknął Stacho, a na twarzy jego pojawił się dobry, przeczący słowu uśmiech. — Łżesz! — powtórzył, podszedł do Kałmuka i trącił go w bok. — Czemu łżesz?

— Głowę utnij, nie łżę — z powagą odparł Kałmuk i zamiast się w głos idący od gromad i wsi? Czy urządzają ankiety i badają oceny repertuaru, sposobu wystawiania, czasu i formy zapowiedzi widowisk?

Szczegółowa odpowiedź na te pytania nie może być dana poza ramami samokrytyki...

Przemysław Bystrzycki

— Mamy kłopoty z funduszami. Źle jest, jeśli w GRN Stare Miasto utonęły w budżecie pieniądze przeznaczone na sprawę świetlicy. Jest również bardzo niedobrze gdy na kontrolne podróże w teren, bądź co bądź jednego z największych powiatów naszego województwa, możemy wykroić tylko 2 000 zł. Instrukcja Wojewódzkiego Wydziału Kultury wskazuje wyraźnie: 2—3 razy na tydzień odwiedzać teren. Na cel ten 5.000 zł. w skali rocznej nie byłoby za wiele.

Gdy przechodzimy do bibliotek, od razu powstaje problem: lokale w gminach Sławoszewo, Gosławice, częściowo również w gminach Miłodojewo i w Grodziec; wyraźnie brak dobrej woli Prezydium GRN w dostarczaniu pomieszczeń.

Książki przychodzą z Wojewódzkiej Biblioteki w Poznaniu w dużych ilościach. Tytułów różnorodność wielka, byle tylko — jak twierdzą moi rozmówcy — większa była dbałość o tytuły wymienione wykazem konkursu czytelniczego... — 7.102 czytelników w IV etapie w skali powiatu — to liczba spora.

„Artos" i kino. W krótkim reportażu nie sposób zamknąć całości zagadnienia. Dlatego nie będę mówił o doborze repertuaru. Ale powiem, że dziwna jest w konińskim „polityka terenowa" tych instytucji. Do powiatu i po miasteczkach — owszem — jeździ się; natomiast do wschodnich rubieży konińskiego zajeżdżają te instytucje niechętnie, tłumacząc się brakiem odpowiednich pomieszczeń.

Można się zgodzić, że remiza ochotniczej straży pożarnej nie zastąpi świetlicy, ale czy towarzysze z „Artosu" i Wojewódzkiego Zarządu Kin zawsze robią wszystko, na co ich stać, aby żywe słowo ze sceny lub ekranu przemówiło z najbardziej odległych zakątków powiatu?

A poziom wystąpień? Białe plamy kulturalne konińskiego i choćby sureckiego straszą, jakby tam było królestwo lwów. To znaczy: czym prędzej odwalić program — i na autobus! Są miejscowości, gdzie jeszcze nigdy towarzysze z tych placówek nie stanęli. Tymczasem ludzie tam czekają.

Znaczna odległość powiatu kaliskiego od poznańskiego centrum stwarza pewne trudności we wciągnięciu tego terenu w orbitę wpływów kulturalnych wojewódzkiego miasta.

Trzeba stwierdzić: za mało uwagi, za mało opieki, za mało pieczołowitości. Z czyjej strony?

Kto jest odpowiedzialny za obecny stan niedorozwoju kulturalnego powiatu? Czy Wydział Kultury WRN w Poznaniu robi to, na co stać tę instytucję, aby pomóc powiatowi? Jak walczy PRN w Koninie o dodatkowe kredyty? Jak wyjaśnia „Artosowi" i Wojewódzkiemu Zarządowi Kin konieczność częstych odwiedzin miejsc najbardziej pod tym względem upośledzonych? Ile razy, przy pomocy jakich argumentów i w jakiej formie zwraca uwagę województwa na palącą potrzebę kierowania tam do pracy wykwalifikowanych świetlicowych, budowy świetlic lub domów kultury? Czy „Artos" i czy Wojewódzki Zarząd Kin żyją sprawami terenu? Czy wsłuchują się w głos idący od gromad i wsi? Czy urządzają ankiety i badają oceny repertuaru, sposobu wystawiania, czasu i formy zapowiedzi widowisk?

Szczegółowa odpowiedź na te pytania nie może być dana poza ramami samokrytyki...

Przemysław Bystrzycki

„Z lat, które nie wrócą"

PODLASIE W SZPONACH GŁODU

„Z Podlasia dochodzą do nas wieści bardzo ponure. Choć zima jeszcze nie skończona, w wielu wsiach sytuacja przypomina już nie tylko przednówek, lecz po prostu głód w całej jego potworności i grozie. Są na Podlasiu wsie, w których dzieci od jesieni nie chodzą do szkół z braku obuwia. Zwykłą rzeczą jest tam jedna para zniszczonego obuwia na czworo dzieci! O pomocach szkolnych, nawet takich jak zeszyty, pióra i ołówki, nie ma mowy! Ubranie ciepłe jest istną karykaturą tego, co się zwać tym mianem winno. Odżywianie się fatalne. Od marca w wielu chatach nie ma ani źdźbła ziarna, ani mąki. Jeszcze dobrze, jeśli gdzie pozostało nieco ziemniaków, wydzielanych bardzo skąpo, aby jak najdłużej mogły wystarczyć. Tłuszcz należy do legendy! Bogata w sól Polska dla ubogich Podlasiaków nie ma jej zupełnie, sól bowiem jest dla ludzi w niektórych okręgach niedostępna... Dochodzą z Podlasia głosy rozpaczy, wołające o ratunek dla dzieci..."

(„Kurier Warszawski" 29 marca 1938 r.).

WYMOWNY ZNAK NĘDZY

„Chłopi powiatu jaworowskiego w Małopolsce podjęli oryginalną inicjatywę. Założyli „Bractwo Jednego Ziemniaka". Cóż to za dziwaczne godło: ziemniak?

Otóż każda z parafii jaworowskich prowadzi listę najbiedniejszych i głodujących. Dzieci i młodzież okoliczna urządzają codziennie zbiórki wśród ludności. Składkę stanowi... jeden ziemniak dziennie!

Miesięczna ofiara wynosi więc 30 ziemniaków. Zdarza się też niekiedy, że przy sposobności ktoś ofiaruje więcej: miarkę mąki, podniszczone już obuwie, czy odzież.

Zebrane zasoby rozdziela „Bractwo Jednego Ziemniaka" między głodujących — i znów młodzież roznosi ziemniaczane ofiary po wsiach i chatach.

„Bractwo Jednego Ziemniaka" — to zjawisko smutne. Zbiórka po jednym ziemniaku: czyż trzeba wymowniejszego znaku nędzy, gnębiącej wieś?".

(„Express Poranny" 4 maja 1935 r.).

ZIEMNIAKI I CUKIERKI

„Do pewnej wsi przybył gość ze stolicy. Gromadkę dzieci, które go otoczyły, obdzielił cukierkami. Posłyszał wówczas — jakże wymowną uwagę starszej wieśniaczki:

— Podziękujcie pięknie, a na drugi raz niech pan dzieciskom po kilka ziemniaków przywiezie, to będzie większa uciecha.

Takiej uciechy bowiem wiele wiejskich dzieci w Polsce dawno nie doznało...".

(„Express Poranny" 5 lipca 1935 r.).

LEPIEJ BYŁO BYĆ PSEM!

„Właścicielka niewielkiej posiadłości w Celestynowie, pani Brzezińska, chowa sobie 15 piesków.

Żyją one tak, jak nie może żyć wielu ludzi, ciężko pracujących na kawałek chleba.

Psie menu przedstawia się następująco: biała kawa, jajecznica, chleb ze smalcem i zupa na żeberkach. Potem słodka drzemka w wygodnym, miękkim łóżeczku.

Równocześnie dziecko pracownicy p. Brzezińskiej śpi na gołej ziemi. Bardzo często jest głodne i podbiera jedzenie psom. Dla niego nie ma ani białej kawy, ani jajecznicy, lub choćby zupy na żeberkach.

Podobne objawy zwyrodnienia uczuć spotyka się nierzadko.

Rozmaici dziwacy, a zwłaszcza zdziczałe stare panny, zapisują niekiedy całe majątki na luksusowe przytułki dla zwierząt lub ustanawiają dożywocie dla osieroconych pupilów, wówczas gdy setki i tysiące dzieci błąkają się po ulicach i przymierają głodem!".

(„Express Poranny" 31 sierpnia 1935 r.).

ZA CHLEBEM DO OBCYCH

„Nasza wielka Ojczyzna nie potrafi, niestety, wykarmić wszystkich swoich dzieci. Muszą one porzucać ojczystą ziemię i szukać chleba u obcych, nie zawsze go zresztą znajdując.

W czerwcu 1936 roku wyemigrowało z Polski 2.440 osób".

(„Express Poranny" 26 sierpnia 1936 r.). Wybrał ARCHIWISTA

✻

Czy podane wyżej fakty nie przypominają Wam, drodzy Czytelnicy, podobnych wydarzeń, których byliście świadkami, lub o których słyszeliście za rządów burżuazji i obszarnictwa? Jeżeli tak, to opiszcie je w liście do nas, wskazując w miarę możności, jakie są losy biorących w nich udział postaci w latach powojennych w ludowym państwie.

Czekamy na Wasze wypowiedzi, z których ciekawsze wydrukujemy w naszym piśmie.

(RED.)

OD WCZORAJ DO DZIŚ

Rysunki o powyższej tematyce wykonała Maria Poręba, 16-letnia dziewczyna ze wsi Gądki w powiecie Jasło. Jedynie pierwszy rysunek przypomina dawnego rolnika z płachtą z ziarnem siewnym i starą wieś z rozpadającymi się ze starości chałupkami. Dwa następne — pokazują pracę maszyn rolniczych w gospodarstwach chłopskich, odmienione życie podgórskiej wioski. Maria Poręba jest jedną z organizatorek świetlicy w Gądkach; obecnie skupiła wokół siebie młode dziewczęta ze swojej wsi Zofię Gruszkoś, Marię Bazyk i wspólnie z nimi rysuje aby wykonanymi pracami ozdobić gądkowską świetlicę. Warto, aby i inni twórcy ludowi pomyśleli o powiązaniu się ze świetlicą, domem kultury — podnieśli i przyozdobili w ten sposób jej wnętrze a jednocześnie zdobyli dla siebie do rysowania nowe tematy.

PORÓWNANIA

Przypomnijmy sobie życie polskiej wsi w latach przedwojennych: czasy „huśtawki cen" na produkty rolnicze, klęski bezrobocia, obskurantyzmu i ciemnoty. Do wielomilionowych mas chłopskich nie docierały wtedy ani służba zdrowia, ani kultura, ani oświata. Krótko: przed wojną o wsi pamiętały u nas tylko dwory potrzebujące darmowej siły roboczej, urzędy skarbowe, lichwiarze. W „sferach rządowych" myślały o niej jedynie władze bezpieczeństwa, kiedy dochodziły do nich pomruki chłopskich buntów.

Po odrodzeniu się państwa jednym z głównych zadań, jakie od pierwszych dni swego istnienia nakreśliła sobie władza ludowa, było stworzenie wsi takich warunków, by mogła ona rozkwitać. Nawet olbrzymie trudności, jakie kraj pokonywał w pierwszych latach po wojnie, nie osłabiły troski państwa o rozwój rolnictwa. Szerokim strumieniem płynęła na wieś pomoc władzy ludowej w odbudowie zniszczonych gospodarstw, w zaopatrzeniu ich w inwentarz, w dostarczaniu nawozów sztucznych. Rząd dawał kredyty i organizował służbę rolną, upowszechniał oświatę i otwierał ośrodki zdrowia, zakładał POM-y i GOM-y i rozbudowywał placówki kulturalne.

Wszystko to zapewniło Polsce Ludowej osiągnięcie ogromnego dorobku na wsi. W minionym dziewięcioleciu w spółdzielniach produkcyjnych i PGR-ach, w gromadach i wśród terenowego aktywu społecznego — wyrośli wspaniali ludzie. Toczą oni dzisiaj wytrwałą walkę o socjalistyczną wieś, torując masom chłopskim drogę do dobrobytu i kultury, do życia wypełnionego twórczym poszukiwaniem nowych metod gospodarowania. Takich metod, które pozwoliłyby wydatnie zmniejszyć w pracy na roli wysiłek ludzki.

Ostatnia uchwała Rządu w sprawie pomocy kredytowej dla pracujących chłopów jest nowym dowodem dążeń władzy ludowej do szybkiego gospodarczego i kulturalnego podniesienia wsi.

Założeniem tej uchwały są dwa cele: zwiększenie produkcji rolnej i stworzenie chłopstwu pracującemu wielokrotnie większych możliwości życiowych.

✻

Wieś polska posiada olbrzymie nie wykorzystywane dotychczas bogactwa. Nie rozwinęło się jeszcze w naszych gromadach pszczelarstwo i sadownictwo. Nie ma w nich urządzeń inspektowych, zapewniających chłopom wysokie dochody za wcześniejsze warzywa. Nie został dotychczas upowszechniony dorobek naszych miczurinowców, wykazujący na konkretnych przykładach, że gospodarka rolna w Polsce może zapewnić obfitość produktów całemu krajowi.

W zwiększaniu plonów, w odwadnianiu moczarów, w uprawach roślin przemysłowych i leczniczych, we wprowadzaniu nowych odmian traw i zbóż, w upowszechnianiu wiedzy agrotechnicznej i zootechnicznej — tkwią nietknięte dotychczas bogactwa polskiej wsi.

Aby te bogactwa mogły być przez wieś wykorzystywane, władza ludowa udziela jej kredytów na podniesienie gospodarki rolnej do poziomu osiąganego przez rolnictwo przodujących krajów na świecie. Przeznacza więc poważne sumy na meliorację łąk i pastwisk, na likwidację resztek odłogów, na rozwój hodowli, rozbudowę gospodarstw i urządzenia podnoszące ich wydajność.

15 tys. złotych kredytu może otrzymać każde gospodarstwo na hektar plantacji chmielu, 10 tys. złotych na odbudowę szklarni, 3 tys. złotych na założenie inspektów, 3 tys. złotych na hektar upraw wieloletnich.

O czym mówią te cyfry?

Państwo oczywiście pragnie zapewnić obfitość produktów rolnych na rynku. Ale wiąże z tym nierozłącznie dążenie do stworzenia takich gospodarstw na wsi, które by wysoko podnosiły opłacalność pracy ludzkiej, czyniąc równocześnie trud chłopski lżejszym.

W omawianej uchwale Rządu szczególną wymowę mają kredyty na budowę studni, na wznoszenie nowych budynków, na zakup krów, na zakładanie gospodarstw pszczelarskich. Znalazła tu piękny wyraz troska o człowieka — o wyższy poziom jego życia.

Należy tu podkreślić jeszcze jedno: Wszystkie kredyty są długoterminowe — o bardzo niskim oprocentowaniu. Stwarzają więc każdemu pracującemu chłopu warunki do wzorowego zagospodarowania się.

✻

Rozpoczynamy realizację wielkich zadań na wsi. Obok pomocy na zagospodarowanie — otrzymuje ona nieustanną pomoc państwa w upowszechnianiu wiedzy, kultury, mechanizacji pracy na roli. Powstają w gromadach świetlice i biblioteki. Otwierane są kina i domy kultury. Coraz częściej goszczą w nich teatry wojewódzkie. Rozwija się czytelnictwo. Wzrasta liczba POM-ów i GOM-ów. Rozpoczynają pracę na wsi rolnicy-naukowcy.

Mimo woli nasuwają się porównania: wsi przedwojennej — i wsi naszych czasów. Wsi wyniszczanej bezrobociem, wyzyskiwanej przez obszarnika, tonącej w ciemnocie — ze wsią otoczoną opieką władzy ludowej, zagospodarowującą się według wskazań nauki rolniczej, podnoszącą swój dobrobyt, rozwijającą się kulturalnie.

Wielkie zmiany zaszły w ostatnim dziewięcioleciu na wsi. A praca nad jej podniesieniem — stale zwiększana — obejmuje coraz szersze odcinki życia.

Idziemy ku nowej, szczęśliwej wsi.

Stanisław Ziemak

KRONIKA KULTURALNA

Nie wszystkie świetlice wiejskie potrafią w pracy kulturalno-oświatowej i masowo-politycznej łączyć zagadnienia ogólnokrajowe z naszą przeszłością, ze środowiskiem, w którym pracują i wykorzystują w agitacji politycznej w terenie.

Odnosi się to szczególnie do postępowych i rewolucyjnych tradycji walk chłopskich, zwłaszcza w okresie, gdy Polską rządziła sanacyjna klika kapitalistyczno-obszarnicza.

Największe nasilenie tych walk, którymi kierowała KPP, przypada na rok 1937. Opis ich przebiegu, analizę podłoża, na którym wyrosły czynniki, które je wywołały, wreszcie nauki, jakie wyciągnęło z nich pracujące chłopstwo, daje niewielka, lecz bardzo bogata w fakty, broszurka wydana przez Wydział Historii Partii KC PZPR w opracowaniu Adama Bandosa pt. „Walki chłopskie 1937 roku".

Polecamy wszystkim świetlicom tę cenną, prosto napisaną broszurkę. Pomoże ona w wygłoszeniu pogadanki, przypomni sanacyjne czasy, ułatwi zrozumieć znaczenie i sens przemian, których dokonało pracujące chłopstwo razem z klasą robotniczą naszego kraju.

◆

Wiejski aktyw kulturalno-oświatowy województwa zielonogórskiego szczególnie wyróżnił się w podejmowaniu zobowiązań przedzjazdowych. Wiele z nich zostało już zrealizowanych. Tak np. wyremontowano sposobem gospodarczym kilkanaście świetlic, zorganizowano kilkadziesiąt kółek samokształcenia rolniczego i wiele zespołów świetlicowych.

Dzięki zobowiązaniom podjętym przez aktyw świetlicy gromadzkiej ZSCh w Chociejewie (pow. Gubin) znacznie ożywiła się praca tamtejszej świetlicy, wyremontowanej ostatnio sposobem gospodarczym. Nowopowstałe w świetlicy chociejewskiej zespoły: czytelniczy, kulturalny i propagandowy zaczęły już pracę. Do świetlicy w Chociejewie przychodzą niemal wszyscy mieszkańcy.

Świetlica gromadzka w Górkach Noteckich (pow. Strzelce), realizując podjęte zobowiązanie, zorganizowała kilkunastoosobową kapelę ludową i zespół propagandowy, który pracować będzie nad upowszechnieniem osiągnięć spółdzielczości produkcyjnej na terenie powiatu. Aktyw Wiejskiego Domu Kultury w Kurowie przekroczył o 50 proc. podjęte zobowiązanie w werbowaniu uczestników IV etapu konkursu czytelniczego. W wykonywaniu podejmowanych zobowiązań przoduje szczególnie młodzież wiejska.

◆

W powiecie siedleckim stale wzrasta zainteresowanie chłopów szkoleniem rolniczym. Wskazuje na to rosnąca z każdym dniem liczba kółek samokształcenia rolniczego, których jest obecnie 33, podczas gdy w roku ubiegłym było ich tylko 18. Kółka te są systematycznie obsługiwane przez 48 lektorów powiatowych. Na przeprowadzane przez nich wykłady i pogadanki przychodzi coraz więcej chłopów. Szczególne zainteresowanie wzbudzają te wykłady, które uzupełniane są filmem lub przezroczami. Np. na szkoleniu rolniczym w gminie Mokobody frekwencja wynosi stale od 150 — 200 chłopów. W roku bieżącym samokształcenie rolnicze prowadzone będzie w 160 gromadach powiatu siedleckiego. Kierować nim będą zespoły składające się z przodujących chłopów oraz gromadzkich organizacji polityczno-społecznych. Wzrost samokształcenia rolniczego wpłynął w znacznym stopniu na zwiększenie prenumeraty pism rolniczych. Obecnie liczba prenumeratorów „Plonu" i „Małego Poradnika Rolnika" wynosi w powiecie siedleckim 11 tysięcy egzemplarzy.

◆

W roku ubiegłym na terenie województwa koszalińskiego działało 99 robotniczych ekip łączności miasta ze wsią z 87 koszalińskich zakładów pracy. Zorganizowały one w ramach ruchu łączności 1 163 wyjazdy do spółdzielni produkcyjnych, PGR i indywidualnych gromad woj. koszalińskiego. Ekipy te nawiązały serdeczny kontakt z ludnością wiejską, niosąc jej pomoc i radę w sprawach ogólnogromadzkich i osobistych. Robotnicze zespoły artystyczne zorganizowały 371 występów artystycznych w gromadach wiejskich, przyczyniając się zarazem do ożywienia ruchu amatorsko-artystycznego na wsi. Służyły one także wiejskim zespołom amatorskim pomocą instruktażową i metodyczno techniczną. Agitatorzy ekip wygłosili około 900 pogadanek na temat aktualnych zagadnień z polityki krajowej i międzynarodowej oraz zagadnień rolnych. Ponad 150 robotniczych brygad remontowych, działających na terenie województwa, udzieliło chłopom pracującym znacznej pomocy fachowej. M. in. ekipy wyremontowały setki maszyn rolniczych. Poza tym na terenie województwa koszalińskiego działało w roku ubiegłym 15 ekip lekarskich, które wydatnie przyczyniły się do podniesienia zdrowotności i stanu higienicznego wsi koszalińskiej. Nie wszystkie jednak GRN przygotowały poszczególne gromady do przyjęcia ekip robotniczych. Często zdarzało się, że chłopi dowiadywali się o przyjeździe ekipy, gdy była już ona w ich gromadzie.

W ramach ruchu łączności miasta ze wsią powinny wykazywać więcej inicjatywy świetlice wiejskie. Do nich przecież należy przygotowanie lokalu świetlicy, czy sceny na przyjęcie robotniczej ekipy. One także powinny zwracać się do zakładów pracy, o skierowanie ekipy robotniczej w wypadku, gdy gromada jest przez nie omijana.

◆

Ostatnio w gromadzie Rajcza (pow. Żywiec) odbył się pierwszy narciarski raid chłopski, zorganizowany przez ZSCh dla uczczenia II Zjazdu PZPR. W raidzie tym uczestniczyło 186 drużyn, entuzjastycznie powitanych na mecie przez tłumy mieszkańców z okolicznych gromad. W wielu gromadach zorganizowano kuligi, poprzedzone pochodami z kapelami ludowymi. Przyjechały one do Rajczy w kilkanaście sań wraz z delegacjami robotników z okolicznych fabryk i zakładów pracy. Dla uczestników raidu zorganizowano kiermasz oraz wiele innych atrakcji, jak pokazy skoków narciarskich itp.

Przedstawiciele poszczególnych gromad, spółdzielni produkcyjnych i Państwowych Gospodarstw Rolnych złożyli w czasie raidu meldunki o realizacji zobowiązań podjętych w celu uczczenia II Zjazdu Partii. Szczególnie entuzjastycznie została powitana drużyna kobieca pod kierownictwem Antoniny Kocoń, która zameldowała, że przywiozła ze sobą 38 dalszych zgłoszeń gospodyń wiejskich w konkursie hodowlanym.

✻

Aktyw kulturalno-oświatowy woj. zielonogórskiego szczególnie wyróżnił się w podejmowaniu zobowiązań przedzjazdowych. Wiele z nich zostało już zrealizowanych. W ramach tych zobowiązań wyremontowano sposobem gospodarczym kilkanaście świetlic, zorganizowano kilkadziesiąt kółek samokształcenia rolniczego i innych zespołów świetlicowych.

Nowopowstałe w świetlicy w Maciejowie zespoły czytelniczy, kulturalny i propagandowy zaczęły już pracę. Do świetlicy w Maciejowie przychodzą niemal wszyscy mieszkańcy wsi.

Świetlica gromadzka w Górkach Noteckich (pow Strzelce Kr.) realizując podjęte zobowiązanie, zorganizowała kilkunastoosobową kapelę ludową i zespół propagandowy, który pracować będzie nad upowszechnieniem osiągnięć spółdzielczości produkcyjnej na terenie pow. strzeleckiego.

Aktyw wiejskiego Domu Kultury w Kurowie przekroczył o 50 proc. podjęte zobowiązanie w werbowaniu uczestników IV etapu Konkursu Czytelniczego. W wykonaniu podejmowanych zobowiązań przoduje młodzież wiejska.

Przykłady te winny zachęcić świetlice, w których realizacja zobowiązań przedzjazdowych przebiega opieszale.

Gazetka gminna

POŻYTECZNA ŚWIETLICA

Czy nie wybudowana świetlica może wypełniać poważną rolę w życiu gromady? Głowę daję, że wszyscy nasi czytelnicy powiedzą: nie.

A właśnie, że tak. Po odpowiedni przykład sięgnijmy do gromady Samołęż, gm. Wronki, pow. Szamotuły. Jakby nie było od 1949 roku buduje się tam świetlicę. Jak dotąd podciągnięto tylko mury, a przecież mimo braku sufitu, dachu, komina okien, podłogi i drzwi — świetlica spełnia nie byle jakie zadania.

Przede wszystkim oddziaływuje pozytywnie na hodowlę kur. Nie wierzycie? Zajrzyjcie między mury. A któż sobie tam urządził wzorowy kurnik, jeżeli nie ob. Jan Szymbowiak?

Dalej niewykończona świetlica spełnia wielką rolę na polu sanitarno-higienicznym. Dość wspomnieć, że sklepowa GS ob. Jadwiga Kirowska z wielkim powodzeniem używa jednego z przyszłych pokoi — jako śmietnik. Nie na tym koniec — bardziej zaciszne miejsca służą jako ustępy.

Dużą także rolę odegrała niewykończona świetlica w ożywieniu ruchu budowlanego na wsi. Ostatecznie prawdą jest, że co sprytniejsi dawno już zabrali 50 q wapna. Szczególnie energicznie spisywał się ob. Wanastski, były wójt we Wronkach. Ze trzy wozy wapna wywiózł.

Pośrednio odegrała też swą rolę świetlica w ożywieniu działalności zlewni mleka. Tam bowiem zawędrowały przydzielone stoły i taborety.

Można by jeszcze mówić wiele. Np. dzieci szkolne poznają na własne oczy praktycznie — procesy gnicia drzewa, z którego miał być dach zbudowany, a ludzie we wsi mają spokój — nie ma bowiem gdzie urządzać zebrań.

Godzi się na koniec dodać, że w uznaniu zasług niewykończonej świetlicy w Samołężu, PGRN Wronki postanowiło nie prowadzić dalszych robót.

JAN BIEGAŁA

(Na podstawie listu zbiorowego ZMP-owców z Samołęża).

KOMPLEKSOWA ELEKTRYFIKACJA

Kiedy gromada Podzamek Golubski, gm. Golub, pow. Wąbrzeźno, złożyła podanie o elektryfikację, planiści z elektrowni w Golubie aż ręce zatarli z uciechy.

— Nareszcie będzie można przystąpić do kompleksowej likwidacji ciemności! — wołali radośnie.

A cóż to takiego — owa kompleksowa likwidacja ciemności? Chwileczkę, zaraz będzie wiadomo.

Ciemność — to straszny wróg światła, postępu i kultury. Łatwo nie ustępuje. Trzeba go brać we dwa ognie, gwałtownie zaatakować, wtedy może ustąpić. Trudno doprawdy o lepszą okazję w wypadku Podzamka Golubskiego.

Zrobi się tak: od strony zelektryfikowanej gromady Ostrowite podciągnie się szybko linię do połowy Podzamka, od strony Goluba — drugą linię do pozostałej części gromady. W ten sposób ciemność dostanie się we dwa ognie i marnie zginie. A przy tej okazji można urządzić miłe widziane przez władze — współzawodnictwo.

Tak się też po części stało. Obie brygady ruszyły — jak to powiadają — z kopyta, szybko dotarły do krańców wsi, wdarły się do środka i tego samego dnia, o jednej godzinie ogłosiły wykonanie zadania. Komu przyznać pierwszeństwo? Oto zadanie dla specjalnej komisji, która zasiadła do obrad w samym środku wsi, żeby uchronić się od stronniczości. A, że był wieczór — trzeba

było zapalić światło. Pstryk — światła nie ma. Jeden dom w lewo — nie ma, drugi — nie ma, jeden w prawo — ciemno, drugi w prawo — ciemno.

Cała sprawa stała się z miejsca jasna. Kompleksowi likwidatorzy chcieli przecież zwyciężyć we współzawodnictwie. Brygada Ostrowite pomyślała sobie: tamci słabo rachują, zostawimy im cztery chałupy, zrobią za nas. A brygada Golub — akurat tak samo.

No i 8 gospodarstw pozbawionych jest w sposób kompleksowy światła. Od 1951 roku.

JAN SKALSKI

(Na podstawie listu chłopa z Podzamka, pozbawionego światła w sposób kompleksowy).

W. BACHNOW i J. KOSTIUKOWSKI

HISTORIA CHOROBY

Z oczyma miał Siemionycz wielki kram,
wzrok mu się psuł, mógł nagle wpaść w ślepotę...
A kiedy to zaczęło się
on sam?
nie spostrzegł, wygniatając miękki fotel.

Choroba po cichutku doń się pcha.
Początek jej zwyczajnym trybem idzie:
Już w poczekalni ludzie tydzień, dwa
czekają — każdy sprawę pilną ma,
a on, przedstawcie sobie,
nic nie widzi...
Kupiono radio dla świetlicy. Lecz
kierownik wziął je, zapakował, zaniósł,
jak wam się zdaje, dokąd? —
Wielka rzecz!
Siemionycz ma je w pięknym swym mieszkaniu.
Wieczorem,
zwykle po kolacji już,
audycji słucha... Tak mu mija tydzień.
A to, że radio jest nie jego, cóż?!
Że świetlicowe? —
Tego już nie widzi.

Z dnia na dzień się pogarsza jego stan,
ślepoty widać groźne już objawy:
bo oto, proszę:
w biurze jakiś pan
nieznany mu zupełnie, nieciekawy,
by sprawa jak najkrócej miała trwać,
ośmielił się zegarek jemu dać...
Siemionycz wziął. To ludzka przecież rzecz
pomagać człowiekowi, gdy jest w bidzie.
Że prezent jest wspaniały — dojrzał, lecz
że to łapówka —
tego już nie widział.

Najgrubsze nawet nie pomaga szkło.
Siemionycz ślepnie. Mówiąc tu nawiasem
czy własna czy państwowa forsa to,
zagarnia bez skrupułów... Plącze kasę...

Ślepota zgubi Siemionycza. Cóż,
wiadomo, że gdy całkiem wzrok utracił,
w fotelu miękkim nie zasiądzie już
i swego gabinetu nie zobaczy.

Przełożył z rosyjskiego Włodzimierz Boruński

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul Wiejska nr 12, tel 8-00 81
Telefony: Red. Nacz. 863-86, Redakcji 870-61 wewnętrzny 13, 42, 70.
Adres redakcji: Warszawa, pl Starynkiewicza nr 7.
Warunki prenumeraty:
mies. — 4,60 zł, kwartalnie — 13,80 zł, półrocznie — 27,60 zł, rocznie — 55,20 zł. Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze
RSW „PRASA", Warszawa, ul Marszałkowska 3/5 5-B- 11486